



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
STANISŁAW JACHOWICZ

Bajki i powiastki

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI, STANISŁAW JACHOWICZ

Bajki i powiastki

STANISŁAW JACHOWICZ

Dwa pługi

Raz na podwórzu stańło dwa pługi:
Jeden długo spoczywał, z pracy wrócił drugi.
«Przyjacielu! rzekł pierwszy, nie rozumiem wcale,
Czemu ja tak przyćmiony, ty błyszczysz wspaniale,
Wszak z jednegośmy kruszcu, przecież nie jednacy,
Skądżeś ty nabył blasku? — Czy chcesz wiedzieć?...
Z pracy.

Henryś i Waluś

HENRYŚ

Czemu-to, Walusiu drogi,
Choć'és ubogi
Zawsześ tak schludnie odziany?

WALUŚ

Nic dziwnego mój kochany!
Ochraniam grosika mamy:
Jak mogę strzegę się plamy.
Gdy dziurka zrobi się mała,
Proszę mateczki, by ją załatała,
I nie rozedrze się dalej:
A jak czysto i schludnie, to każdy pochwali.

Pierścionek

Jubiler z Rzeszowa pudełko otwiera,
A mama pierścionek z kamyczkiem wybiera,
I śliczny wybrała.
I Maryni dała.
Widziała go Andzia na siostry paluszku,
Nie zazdrość, nie boleść uczuła w serduszku;
Ale się cieszyła, z radości skakała;

Bo Andzia Marynię serdecznie kochała.
Dobrą dziecinę naśladowcie dzieci!
Niech brzydka zazdrość serc waszych nie szpeci.

Adelka

Adelciu! twa imienniczka
Napierała się pierniczka;
Myślisz Adelciu, że jej mama dała?
Nie. — A dlaczego? — Bo się napierała.

Dziewczynka i matka

DZIEWCZYŃKA

Jam przy gościach nie płakała
Choć-em jeszcze taka mała.
«Nic dziwnego, — mama powie,
Kto płacze, beksą się zowie».

Czysty kotek

Czemu się często myjesz? pytano raz kota.
Bo czystość — odpowiedział — jest to piękna cnota,
Jakoż doprawdy, kocina
Mył się prawie co godzina;
Chętnie mu do pokoju wchodzić pozwalano,
Powszechnie go kochano,
Doznawał wszelkich pieśczotek:
A czemu? bo czysty był kotek.

Zajac

Wyszedł zajac z za krzaka,
I udawał Junaka:
Wąsy podniósł do góry,
Wzrok nasrożył ponury.
A w tem jakoś z niechęcą,
Wietrzyk z krzaczka liść strąca —
Patrzą... nie ma zajaca.

Pierniczek

Henrysiu! na ci pierniczek, rzekł przyjaciel domu,
Ale zjedz go gdzie w kącie i nie daj nikomu. —

Ej, pan chyba żartuje, odpowie Henryczek:
Mam zjeść sam, to dziękuję, schowaj pan pierniczek.

Zgodne rodzeństwo

Kochany braciszku! nie rusz mi stoliczka,
Raz mała Ludmiłka rzekła do Eryczka,
Bo tu moje lalki niedługo usiądą:
Widzisz to nakrycie? tu obiad jeść będą.

ERYCZEK

Masz dla nich przysmaczki?

LUDOMIŁKA

Nie, bracie kochany.

ERYCZEK

Z wczorajszego balu mam dwa marcypany,
Mam jedno jabłuszko, cukierki, pierniczek. —

Pobiegł i przynosi to wszystko Eryczek.
Bawiły się grzecznie i zgodnie dziecieczki,
I same zjadały, co miały lalczki.
Teraz, rzekł Eryczek, bądź siostrze wzajemną,
Bawiłem się z tobą, ty się pobaw ze mną.
Widzisz, w tem pudełku mam ja polowanie,
Strzelec będzie strzelał, i zabije łanię. —
Ach żal mi jej bracie! powiada Ludmiła.

ERYCZEK

Eh! to nic nie szkodzi, będzie znowu żyła. —

I tak się bawiły zgodnie i przyjemnie.
I całe się życie kochały wzajemnie.

Siwe włoski

Powiedz mi dziaduniu, jak to się zrobiło,
Że ci coś jak śniegiem włoski opruszyło?
Już śniegi i lody na dworze stopniały,
I słońce dogrzewa, a włoszek twój biały.
Dziecino kochana! dziadunio odpowie,
Starością posiwił mój włoszek na głowie:
Żyjemy, rośniemy, jak na polu kłoski
Dojrzeją, żółkniją, nam — zbieleją włoski:
A kto włosy ma takie, żył długo na świecie,
Szanujże go lube dziecię,
I powstań przed nim, choć biedny, w niedoli,
A Bóg ci siwych włosków doczekać pozwoli.

Zuzia i pokrzywa

MAMA

Na ci Zuziu pokrzywkę. — Kiedy parzy Mamo!
— Niegrzecznym, rzecz mama, dzieje się to samo;
Každy ich tak unika, jak ty tego ziela;
Bądź łagodną, uprzejmą, znajdziesz przyjaciela.

Matka i dziecię

MATKA

Dam ci wisienkę,
A zaśpiewaj piosenkę.

DZIECIĘ

Kiedy każe mama,
Zaśpiewam i sama.

PIEŚŃ

W ogródeczku rośnie trawka, między trawką kwiatki,
Rwą je dzieci na wianeczki dla ojca, dla matki,
Bo nam Pan Bóg przykazanie zesłał takie z nieba:
Że o mamie i o tacie pamiętać potrzeba.

Teodorek

Teodorek łapał muszki,
Obrywał im skrzydła, nóżki.
Siostra na to patrząc z boku,
Mówiła mu z łezką w oku:
O niedobry Teodorze!
Jak cię też to bawić może?
Cóż ci winny biedne muszki?
Czyż ty im dał skrzydła, nóżki?

Plama i łata

Plama przy łacie raz na sukni siadła,
I tak sąsiadkę zagadła:
Mnie nosi czasem i pani bogata,
A ty cóż jesteś?... godło nędzy... łata.

CZŁOWIEK

Że się tu wmieszam, Jejmość mi przebaczy,
Łata staranność i porządek znaczy,
A plamką się i małą brzydzą pospolicie:
Bo plama zawsze plamą, choć na aksamicie.

Zdzistawek

MAMA

Zdzisławku! pij lekarstwo! — Pił ani się skrzywił;
A kiedy się braciszek młodszy temu dziwił,
Tak Zdzisio odpowiedział: Złem złego zbywamy,
Lepiej wypić lekarstwo, niż widzieć łzy mamy.

Mysz młoda i stara

Wyjdź kochanko z ciasnej chatki,
I posłuchaj głosu matki, —
Mówiła mysz do córki, — w świat cię wyprowadzę,
Ja ci doradzę:
Jak zbierać ziarneczka,
Jak się strzedz koteczka,
Jak łapki unikać,
Jak do jamki zmykać:
Powiem ci, czem słoninka pachnie przypiekana,
Ale mnie słuchaj córko ukochana. —
Myszka była posłuszna i nie żalowała;
Długo sobie szczęśliwie po świecie bujała;
Tysiąc myszek zginęło, ona jedna żyła:
A czemu? *bo posłuszna swojej matce była.*

Justynka

Justynko, mówił Ludwiś, czy dobra bułeczka?
Dobra. — A dasz mi trochę? — Ani kawałeczka.
Mama dobywszy ciastko, rzecze do Justynki
To i ja tobie nie dam ani odrobinki.

Piesek Kruczek

Chodź piesku! a ten piesek nazywał się Kruczek,
Chodź, mówił Hipolitek, nauczę cię sztuczek. —
Kiedym ja jeszcze mały, ucz panicz Azora. —
Nie, piesku, rzecze chłopczyk, to najlepsza pora;
Azor stary, nie pojmie, pracować z nim nudno.
I tobie później byłoby trudno.
O wieleby cię, wiele, pracy kosztowało,
Teraz zobaczysz jak mało.
Wkrótce pojętny Kruczek
Nauczył się wiele sztuczek.
Służył, podawał i pływał,
Tysiąc figlów dokazywał,
A to tak zręcznie, tak śmiało.

Iż się zdawało,
Że go nic nie kosztowało.
Pamiętaj Hipolitku coś mówił do Kruczka:
«Że się z młodu najlepiej nabywa nauczka».

Matka i dziecię (Przyszła Jaś zrana...)

Przyszła Jaś zrana do ogródka w lecie,
Patrzy.... łyż na każdym kwiecie.
Biegnie do mamy z rozpaczą.
I woła: patrz, kwiatki płaczą.
Co mają znaczyć te łezki?

MATKA

Jest to ich pokarm niebieski.
Łza każda pochodzi z nieba,
Do życia łez im potrzeba.
Tak bywa i u nas ludzi.
W kim się uczucie nie wzbudzi,
Kto serce kamienne nosi,
Łzę nigdy oka nie zrosi,
Choć widzi niedolę czyję;
Możeż powiedzieć, że żyje?

Walercia

Są czasem dziewczynki dobre, jak aniołki,
Posłuszne córeczki, tkliwe przyjaciółki;
Niegrzecznych służącym nie mówią słówcezek,
Kochają braciszków i strzegą się sprzeczek.
Walercia to mi-to wyborna dziewczynka!
Już zaraz jej dobroć pokazuje minka,
Jak niebo bez chmurki, jej czoło pogodne,
Usteczka z uśmiechem, spojrzenie swobodne.
Wejść tylko, Walercia powita cię mile,
Biednemu uczyni, co tylko w jej sile,
O piesku pamięta, nie drażni koteczka,
To mi-to Walercia, milutka dziewczeczka
Chcesz wiedzieć, jak na tem Walercia wychodzi?
Mateczka ją kocha, nieraz jej dogodzi.
Nigdy się tateczko na nią nie rozgniewa.
Walercia wesoła i zawsze szczęśliwa,
Wszyscy ją kochają, niosą upominki,
O bierzcie z niej przykład kochane dziecińki.

Marcinek

DO JÓZIA

Między grzecznymi dziećmi są czasem mazgaje,
Jak ci się też Józiu zdaje,
Czy dobrze na tem wychodzą?
O! wierz mi, jak cię kocham, same sobie szkodzą.
Marcinek, jak ty, malutki,
O najmniejszą drobnostkę zaraz stroił dudki:
Czy mu się co zapowiedziało,
Czyli kiedy od mamy dostał czego mało.
Czy kto nań palec zakrzywił,
Zaraz się rzewnie roztkliwił;
Zaraz beczał, zaraz szlochał.
Nikt go też za to nie kochał;
Wszyscy się z niego naśmiali,
Mazgajem go nazywali.
Nareszcie widzi, że to brzydka wada,
Choćby oczy wypłakał, wszystko nic nie nada.
Wziął się na inny sposób:
Grzecznym był dla wszystkich osób;
A o co tylko poprosi uprzejmie,
Każdy od swych ust odejmie:
I chętnie się z nim podzieli.
O dawnej wadzie wszyscy zapomnieli.
Ledwie się popatrzy ładnie,
Już myśl jego każdy zgadnie,
Nikt mu już w niczem niesprzecznym:
Bo Marcinek bardzo grzeczny.

Szerszeń i wiewiórka

Co się to znaczy? powiedz, wiewióreczko!
Zawsze coś w pyszczku zanosisz w gniazdeczko
I próżno wracasz... i tak bez ustanku. —
No to wiewiórka: ot widzisz kochanku,
Jesień nadchodzi, owoc spada z drzewa,
Wicher dmie srogi wszystko porozwiewa.
Otóż na zimę dziś się zapas zbiera.
Próżniak, niedbalec, to z głodu umiera.

Kwiatek znaleziony

Leżał kwiatek na drodze,
Niejeden go nie widział, choć go miał przy nodze,
Niejeden choć widział, minął,
I byłby zginął.
Przechodzi dziewczynka mała,
Podniosła go, rozchuchała,
A potem w szklankę do wody włożyła,

I słaba roślina na nowo odżyła.
Zajrzyjmy w serduszko tej dobrej dziewczynki:
Ach, co tam uciechy z odzycia roślinki!
I słusznie, bo litość najśłodsza jest cnotą;
A biedny kwiateczek był także sierotą.

Kryś i Leos

Leos płakał nad książką, jednak się mozolił;
Kryś niepomny na przyszłość, wesoło swawolił.
Nadszedł wiek dojrzały, wszystko w spak obrócił
Cieszył się Leos z nauk, Kryś niebaczny smucił,
I westchnął poniewczasie, gdy mu głód dokuczył
«O jakżem ja źle robił, żem się nic nie uczył!»

Pszczółka

Pszczółka spotkawszy człowieka w ogrodzie,
Rzecz: nieprawdaż? w całym zwierząt rodzie
Nie masz takiego, jak ja, przyjaciela?
Na to człowiek: „mam owcę, co wełny udziela,
Twój miód tylko przyjemny, wełna pożyteczna,
A przytem, prawdę rzekłszy, tyś trochę niegrzeczna:
Owiczka mi swą wełnę daje dobrowolnie,
Pszczółka czasem za miodek dobrze żądłem kolnie”.

Pszczola i gołąbek

Wpadła w strumyk pszczołka mała,
Skrzydłkami trzepotała,
Już w nich siłę utraciła.
O! w jakimże strachu była:
Gołąbeczek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek... pszczołka rada,
Na zieloną łódkę siada,
Skrzydła siłę odzyskały,
I uleciał owad mały.
Nikt o swem nieszczęściu nie wie.
Jakoś wkrótce gołąbek siadł sobie na drzewie,
Spokojny! szczęśliwy!
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę chcąc go zgładzić z świata:
Pszczółka przylata,
Utnie go żądłem w rękę, strzał ptaszynę mija;
Ocalona swobodnie w powietrze się wzbija.
Tak zawsze dobroczynność wdzięcznością się płaci.
Nieśmy pomoc w nieszczęściu dla naszych współbraci.

Wychowanek

Piesku! piesku! masz ty pana?
— Nie mam dziecino kochana. —
To chodź z nami, sieroteczko!
Mieć będziesz miękkie łóżeczko,
Jeść ci i pić chętnie damy;
A nawet poproszę mamy,
Da ci wstążeczkę na szyję:
Nikt cię u nas nie wybije. —
Poszedł piesek i był długo
 Wiernym sługą.
A jak ktoś dzieciom chciał zabierać cacka,
 Wpadł znieścacka,
 Narobił hałasu.
Tak, że skraść nie było czasu;
A więc cacka ocalały.
Patrz! jak wdzięcznym być umie nawet piesek mały.

Bezimienny

Dała mi złotówkę mama,
Bym zobaczył panorama.
Idę ulicą Miodową,
A w tem starzec z siwą głową,
Obraz nędzy i rozpaczy,
Prosi o wsparcie bogaczy.
Przeszli dumnie ci i owi,
Nic nie dali nędzarczowi.
Tak mi się go żal zrobiło,
Że choć nowość widzieć miło,
Wyrzekłem się jej dla cnoty.
I dałem starcowi złoty,
Lecz kto jestem? jak się zowie?
Nikt się odemnie nie dowie;
Bo mi ojciec mawiał: «Synu!
Nie chełp się z dobrego czynu».

Dziecię i dzbanuszek

Mała dziecina łakoma i chciwa,
Jak często w świecie bywa,
Nigdy na tem nie przestała
 Co mama dała.
Były dwa jabłka, trzeciego żąda;
Były trzy gruszki, za czwartą spogląda;
Dano cukierków, to zawsze za mało;
Dano pierniczek, dziecię ciastka chciało.
Raz mu w dzbanuszek wsypano orzechy
 Ach, co to było uciechy!

Dziecina rączkę w wazką szyję wkłada,
I wszystkieby zabrać rada.
Ale niestety: wyciągnąć nie może.
Dziecię w płacz. W takim razie i płacz nie pomoże.
Szarpie. Wszystko napróżno: i orzeszków nie ma,
I dzbanuszek rączkę trzyma.
Ktoś się wreszcie zlitował, i dał rady zdrowe:
«Nie bądź kochanku chciwym, weź tylko połowę,
Wyjmiesz rączkę, orzeszki wybierzesz potrosze.
A pomnij w dalszym wieku tak czerpać rozkosze».

Pudel

A kto mi wypił moje mleko z garnka?
Mówiła raz kucharka —
Tak, doprawdy, ty widzę: bo masz białą brodę.
Jakże-to było? powiedz, znana mi twa cnota:
I chciałżebyś szkodnego naśladować kota? —
Pies się bardzo zawstydził, i zawył żałośnie,
Wyrzutów takich słuchać było mu nieznośnie;
A gdy go potem chęć brała zrobić szkodę,
Przypomniał sobie w mleku umaczaną brodę.

Siejba

Powiedz mi tatuniu luby,
Czemu rzucasz w ziemię zboże?
Czegóż próżnej szukasz zguby?
Wszak ze zboża chleb być może!

Ja ci wybieram troskliwie,
I zaniosę je do młyna;
Na co ma gnić na tej niwie?
Tak mówił mały chłopczyna. —

Synu, rzekł ojciec sędziwy,
To zboże mi tu nie zginie,
Ujrzysz, nim jeszcze rok minie,
Ile zbierzemy z tej niwy.

Siejcie dzieci, w sercu cnoty,
Miłą ciescie się nadzieją;
One tam pięknie dojrzeją,
I przyniosą wam plon złoty.

Motylek

Z kwiatka na kwiatek przelatał motylek,
Cieszył się życiem, co trwa kilka chwilek;

Różane gaje rozkosznie przebywał,
Przy blasku słońca po powietrzu pływał,
W około rozlicznymi pieścił się widoki,
Z kwiatów słodkie czerpał soki.
Ledwie na chwilę odpoczął wśród cieni,
Znowu igrał wesoło w rozległej przestrzeni,
A czas nieznacznie jak płynął tak płynął.

Nareszcie motylek zginął. —
Nie jest-to obraz człowieka:
Co go wdziękiem szczęście mamy?
Płyną lata za latami,
A nakoniec śmierć go czeka.

Szerszeń i pszczoła

Próżne twoje zabiegi, próżne twe mozoly,
Rzekł gnuśny szerszeń do pszczoły,
Daremnie z takim trudem napelniasz spichlerze,
Wpadnie człowiek niewdzięczny i wszystko zabierze.
„Pracując, nie pytam się czy komu, czy sobie,
Praca mię uszczęśliwia i dlatego robię”.

Kruk żebraczek

Patrzcie-no: żebraczek!
W tej czarnej sukmanie,
Głodny nieboraczek,
Gdy zima nastanie.
Dzieci! dzieci! dla przykładu,
Dajcie mu też co z obiadu.
Tu ucieszone dziecińki
Dalej zbierać odrobinki,
Ochoczo się ubiegały,
By krukowi jeść podały,
Co pod oknem jak żebraczek,
Chodził głodny nieboraczek.
Dobroczynny, ludzki, tkliwy,
Nie pyta kto nieszczęśliwy,
Komu może,
To pomoże,
Boś tak kazał dobry Boże!

Wicuś

Na zmarzniętej sadzawce, w ogrodzie,
Ślizgał się Wicuś po lodzie;
A choć mu brat starszy ganiał tę zabawkę,
Gdy sposobność upatrzył, dalej na sadzawkę.
Zaufany w zręczności mniej ważył przestrożę.

O przypadek nie trudno: Wicuś złamał nogę.
Wtedy biedny chłopczyzna sam wyznał ze łzami:
Że się nie godzi starszych pogardzać radami.

Szczurek na wędrówce

Młody szczurek, gaduła, wśród podróży swojej —
Patrzy... a tu na drodze mały domek stoi.
Tego mi też potrzeba: przytułek wśród drogi!
Swobodnie odpocznę nogi.
Dom mały, jam nie wielki, głodnym, tam słonina.
I ślinkę lykać zaczyna.
To zapewne szczurów wędrownych gospoda.
Co za wygoda.
O! trzeba się tam schronić. Cóż się stało dalej?
Trzask! zamknęła się łapka i szczura złapali.
A jaka tego przyczyna?
Złe sądzienie o rzeczach, próżna gadanina.

Kostuś

Póki miał Kostuś kilka tylko groszy.
Dzieląc się niemi doznawał rozkoszy.
Nadeszły imieniny: aż tu niespodzianie,
Sto nowych groszy dostał na wiązanie.
Mniemacie, że ten chłopczyk, obdarzon sownicę,
Będzie jeszcze hojniejszym? Bardzo się mylicie:
O grosz go prosił żebrak, odmówił mu śmiało,
Boby mu do okrągłej liczby brakowało.

Uczcie się dzieci poskramiać swe żądze.
Dla dobrego użycia daje Bóg pieniądze:
A kto za młodu zbiera, by się patrzył na nie,
Obrzydłym skąpcem na starość zostanie.

Szczęście Boże i Bóg zapłać

«Szczęście Boże!» mówił panicz idąc koło żniwa,
I grzecznie zdjął czapkę przed gromadką hożą. —
«Bóg zapłać!» tysiące wdzięcznych głosów się odzywa
«Rośń nam drogi paniczu pod opieką bożą.»
«Mateczko! — rzekło dziecię — jak ci ludzie mili!
«Tak mię słodko pobożnem słówkiem pozdrowili.»
«Prawda, aż miło słyszeć — odpowie mu matka —
«Grzecznyś był dla gromadki, dla ciebie gromadka.»

Władys

Z małym Władysiem wyszedł ojciec w pole,
A ujrawszy wśród zboża bławaty, kąkole,
Pyta się go: „co wolisz, czy zboże czy kwiatki?”

Władys wybiera bławatki.

I nie są to dziwy żadne,
Bo u dzieci zazwyczaj, to dobre, co ładne;
Ale kto rozum dojrzały posiada,
Niechaj nad owoc kwiatów nie przekłada.

Wróbelek i kurczątko

Przyjdzie czasem bieda wielka,
Niema ziarek dla wróbelka,
I aż wtenczas się pożywi,
Gdy mu dadzą co poczciwi.
Na podwórzu raz kucharka
Posypała kurom ziarnka:
Biedny wróbel ślinkę lękał,
I powoli się przymykał.
Stara kura, sknera wielka,
Nie chce nic dać dla wróbelka,
„Ach, ja głód okropny znoszę,
„O trzy ziarnka tylko proszę,
„Macie tysiąc; o! mój Boże!
„A wróbelek umrzeć może.”
Biada ci próżniaku, biada!
Stara kura odpowiada:
Twoja prośba próżna, marna,
Nie dla ciebie nasze ziarna.
A kurczątko to słyszało,
Wróbelkowi ziarek dało,
I dotychczas przyjaźń wielka
Łączy z kurczątkiem wróbelka.

Braciszek i siostrzyczka

BRAT

Widzisz siostruniu, jabłuszko moje?
Chodź, zjemy sobie oboje.

SIOSTRA

O! dziękuję, moja duszko!
Cóż ja ci dam za jabłuszko!

BRAT

Nic, kochana siostruniu, toby pięknie było,
Żeby jedno drugiemu koniecznie płaciło!

Przyjm, kochana Maryniu, przyjmij i jedz śmiało,
Mnieby samemu nie smakowało.
Z tobą podzielić tak miło:
Oby więcej na świecie takich dzieci było.

Staś

Staś na sukni zrobił plamę;
Płacze i przeprasza mamę.
Korzystając z chwili mama,
Rzecz: „na sukni wypierze się plama:
Ale strzeż się moje dziecię,
Brzydkim czynem splamić życie;
Bo ci Stasiu mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze.”

Łódka na wodzie

Dziateczki płynęły, łódeczka się chwiała,
Władysławek śpiewał, a Terenia drżała,
Nie bój się, rzekł Władys, Bóg czuwa nad nami:
Tam, gdzie strachu niema, nie szukajmy sami.
Tak i w życiu ludzkim łódka się koleba;
Śmiało patrzeć w górę i bać się nie trzeba,
Nućmy sobie piosnkę: Bóg czuwa nad nami,
My łódką kierujem, Bóg rządzi falami.

Skowronek i dziecię

DZIECIĘ
Gdzie ty lecisz skowroneczku?

SKOWRONEK
Lecę myśleć o gniazdeczku
Znikły mrozy, śnieg topnieje,
Już cieplejszy wietrzyk wieje!

DZIECIĘ
A jak gniazdko zlepisz sobie?

SKOWRONEK
Pytasz, co ja wtenczas zrobię?
Wtedy się w powietrze wzbiję,
Zaśpiewam: niech wiosna żyje!
Zaśpiewam cześć Panu w niebie,
Co mnie zasila w potrzebie,
Co ma opiekę nad nami.
Co przyświeca gwiazdeczkami!

DZIECIĘ

I ja klęknię, rączki złożę,
Podziękuję Tobie Boże!
Zaśpiewam na Twoją chwałę,
Bom ci winien szczęście całe.

Żebrak i kamień

Utknął żebrak na kamieniu,
Zabolało go trochę,
Więc w niebacznym uniesienieniu
Nuż wynurzać myśli płocze:
„Na co ten kamień wśród drogi?
Próżna przechodniom zawada.”
Wtem pies ogromny wypada,
On podniósł kamień, pies w nogi.
Często, gdy kogo małe nieszczęście spotyka,
Więszczego przeto unika.

*Karolek i słońce*¹

Czasem dobrze życzących nie lubimy ludzi.
Raniutko wstało słońce i Karolka budzi.
«Ale dajże mi pokój» rzecze rozgniewany. —
«O nie! odpowie słońce — wstawaj mój kochany!»
«Tylko się chwilę zdrzemię, bo to bardzo miło!»
«Przewyciężyć lenistwo milejby ci było!»
«Ach jakżeś uprzykrzone! A słońce się śmiało
I w oczy mu zaglądało.
Rad nie rad musiał wstawać... ale cóż za zmiana?
Biegnie zaraz chłopczyna do ogródka zrana:
Ogródek miłą wonią napelniony cały,
Tu się kwiatki krzewiły, tam ptaszki śpiewali;
Tu rosą pokrzepione zielenią się drzewa,
Łagodny wietrzyk powiewa,
Chłopczyk, jakby na nowo na świat się urodził,
Z nieznanem dotąd uczuciem po ogródku chodził,
Mile wspominał słońce wśród tyłu słodczy,
I rzekł: «Teraz poznaję, kto mi dobrze życzy.»

Wilk i koźlę

Troskliwa o los dziecięcia,
Rzekła koza do koźlęcia:
„Wychodzę teraz na paszę,
Siedźże tu spokojnie wasze;
Póki nie wrócę do domu;

¹*Karolek i słońce* — tytuł utworu poprawiono zgodnie z wcześniejszym wydaniem *Bajek i powiastek* z 1916 roku. [przypis edytorski]

Nie otwieraj mi nikomu,
Chyba, że białą pokaże ci łapkę.”
Wilk, co od dawna miał na koźlę chrapkę,
Mysząc, że zręcznie uda mu się sztuka,
Ledwie matka odeszła, do koźlęcia puka.
„Białą łapkę masz nieboże?
Bo inaczej nie otworzę;
Mamunia mi kazała,
Oj! u ciebie coś nie biała.”
„Masz szczęście — wilk odpowiada,
Biadaby ci była! biada!”

Chory kotek

Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku,
I przyszedł kot doktor: «Jak się masz koteczku!»
«Źle bardzo...» i łapkę wyciągnął do niego.
Wziął za puls pan doktor poważnie chorego,
I dziwy mu śpiewa: «zanadto się jadło,
Co gorsza, nie myszki, lecz szynki i sadło;
Źle bardzo... gorączka! źle bardzo koteczku!
Oj długo ty, długo poleżysz w łóżeczku,
I nic jeść nie będziesz, kleiczek i basta:
Broń Boże kielbaski, słoninki lub ciasta!
«A myszki nie można? zapyta koteczek,
Lub z ptaszka małego choć parę udeczek?»
«Broń Boże! pijawki i dyeta ścisła!»
Od tego pomyślność w leczeniu zawisła.»
I leżał koteczek; kielbaski i kiszki
Nietknięte, zdaleka pachniały mu myszki.
Patrzcie, jak złe łakomstwo! kotek przebrał miarę;
Musiał więc nieboraczek srogą ponieść karę:
Tak się i z wami, dziateczki, stać może;
Od łakomstwa strzeż was Boże!

Franuś

Franuś miał śliczne jabłuszko, czerwone;
Pieści się niem, na każdą obraca je stronę,
I rzecze: «szkodaby cię zgładzić z tego świata;
A przytem, trzebaby dać połówkę dla brata.
Nie, nie, ja ciebie nie ruszę;
Cały rok cię chować muszę:
A potem... nie i potem, rzecze mały sknerka,
I schował je do kufierka.
Cóż się stało? — jabłko zgniło...
Jakże mu żal wtedy było!

Przestroga

Schowaj się myszko, do jamki głęboko,
Bo kotka na cię ma oko.
Schowała się myszka, kotek łyka ślinkę,
Że mu tak wyborną spłoszono zwierzynkę.
Ależ moja myszko, żal mi cię nieboże!
Nie dzisiaj, to jutro, kot cię złowić może,
Tyś bardzo łakoma, on mistrz wyuczony,
Ani się spostrzeżesz, gdy mu wpadniesz w szpony.

Piotruś

Piotruś żwawy, dzielny, śmiały,
Choć mu wiele piastunki o strachach bajały,
Śmiał się tylko z ich prostoty:
Bo wiedział, co są ludzie, co wyższe istoty.
Patrzcie, co może wyobraźni siła!
Raz, gdy noc ciemnościami już ziemię okryła,
Spostrzega coś białego wśród czarnego zmroku.
Nie wierzy oku.
Coraz się o tem mocniej przekonywa;
Białe okrycie po ramieniu splywa;
Postać biała, wysoka, przybliżać się zdaje;
I znowu staje.
Już żwawy chłopiec wytrzymać nie może;
Porzuca łoże
I pędzi śmiało;
Aż tu się pokazuje, że płótno wisiało.
Gdyby się nie przekonał i przytomność stracił,
Byłby to życiem przypłacił.

Pszczółka

Pszczółka spotkawszy człowieka w ogrodzie,
Rzecz: nieprawdaż? w całym zwierząt rodzie
Nie masz takiego, jak ja, przyjaciela?
Na to człowiek: „mam owcę, co wełny udziela,
Twój miód tylko przyjemny, wełna pożyteczna,
A przytem, prawdę rzekłszy, tyś trochę niegrzeczna:
Owieczka mi swą wełnę daje dobrowolnie,
Pszczółka czasem za miodek dobrze żądłem kolnie”.

Bug i strumyk

Uskarżał się Bug na to, iż gdy w Narew wpadał,
Imię, podobne Stwórcy nazwisku, postradał.

Na to mu rzecze strumyk, który płynął blisko:
«Nie nazwisko nas zdobi, ale my nazwisko».

Woreczek jedwabny i skarbonka gliniana

Piękny woreczek, paciorkami dziany.
Stał przy skarbonce glinianej.
„Ty przy mnie”, rzecze, co za śmiałość proszę!
Ja mam złoto, a ty grosze!”
Na to skarbonka odpowie
Chępliwemu woreczkowi:
„Nie z posiadania skarbów zaszczyt na nas spływa,
Ale jak ich kto używa”.

Dziecię i muszki

W poobiedniej godzinie
Zachciało się spać dziecinie,
A trzeba zważać i na to,
Że to skwarne było lato.
Co się zdrzemnie, to jej muszka
Brzęknie głośno koło uszka,
A inna znowu swawolnie
Ostrem ją żądelkiem kolnie.
Moje muszki! rzecze dziecię,
Dlaczegoż wy mnie budzicie?
Ja leżę spokojnie sobie,
I nic złego wam nie robię.

MUSZKA

W nocy, kto chce, spać może,
Nie przeszkadzamy w tej porze;
We dnie każdy ma być czynny,
I dzieci spać nie powinny.

Myszka na śniadaniu

Dano śniadanie dla dzieci,
A matka, jak zwyczaj matek,
Łamie bułeczki, mleka nalewa.
Serwetką dzieci okrywa,
Nie żałuje cukru, ciasteczek,
Dla ukochanych dziecieczek,
Myszka się patrzy zdaleka,
I czeka,
Czyli nie padnie jaka odrobinka;

Jakoż istotnie cukru upadła kruszynka.
Zbliża się myszka nieśmiała
Pani tupnęła nogą i ruszyć nie dała.

MYSZKA

Przepraszam... ależ pani kochasz dzieci swoje,
O! i ja kocham moje!
Myślałam, że co upadnie,
Tęgo podnosić panom nie ładnie;
Że to dla biednych zostanie,
Że mogłabym to znieść dzieciom na śniadanie.
Ale kiedy się nie godzi,
To biedna myszka odchodzi.
Łzy stanęły w oczach pani,
I bułeczek i ciasteczek
Dała matce dla dzieciątek.

Osiół i dzik

Osiół, zaślepion srodze, drwił sobie raz z dzika,
Dzik chciał zaraz na ćwierci rozszarpać nędznika,
A potem myśli sobie: wszak on rozum stracił —
Uśmiechnął się i tylko wzgardą mu zapłacił.
Kiedy kto nierozsądny na cię potwarz miota,
Wstrzymaj zemstę; przebaczaj największa cnota.

Dziecię i zegar

Uderza godzina. «I cóż ten głos znaczy?»
Pytało się dziecko, a matka tłómaczy:
«Dziś jeszcze zrozumieć twój umysł nie zdoła,
Jak całość stanowią te kółka i koła,
Jak człowiek cudownie potrafił czas zmierzyć,
Jak zdziałał, że dzwonek wie kiedy uderzyć;
Lecz będziesz rósć dziecię! a zegar powoli
Bić będzie godziny. Nieznacznie czas minie,
Bóg matce szczęśliwej doczekać pozwoli,
Jak się twój umysł rozwinie.
Znów zegar bić będzie, on i ten czas zmierzy
A wtedy, jak dzisiaj gdy zegar uderzy,
Wyjaśni ci matka, co to wszystko znaczy
Ty pojdziesz, zrozumiesz, co matka tłómaczy.
Dziś tylko pamiętaj kochana dziecino!
Że chwile nie wrócą, skoro raz przeminą.
Choćby długo czekać, choćby żyć najdłużej,
Tej samej godziny zegar nie powtórzy,
Bo każda jest inna, choć niby ta sama:
Jeżeli nie pojdziesz, wiesz, co mówi mama:
*Z wybiciem godziny czas drogi ucieka,
A potem Bóg spyta każdego człowieka:
Jak przeżył wiek cały, jak wszystkich sił użył,
Czy z czasu korzystał i na co zastużył!»*

Ogródek

Ach! jakżem ja szczęśliwa, mówiła Celinka,
Rzuciłam ziarnko w ziemię, już z niego roślinka.
Takie listeczki!... tam dalej... kwiatki,
Tu groch cukrowy, tam trochę sałatki;
To wszystko moje, wszystkim ja sadziła:
A mieć ogródek, to bardzo rzecz miła!
A na to mama odpowie Celince:
Myślisz, że szczęście w ogródku? w roślince?
To szczęście w tobie, masz je wszędzie z sobą,
Bo cnota, czucie i rozważa z tobą.

Ludwiś

Kto pilny, pracowity, ten bawić się może!
Ale próżniak, broń Boże!
Ludwiś się pięknie uczył i wszystko rozumiał,
Kilkanaście bajeczek już na pamięć umiał;
Czytał płynnie, z uwagą, nie przekręcił słowa,
Wiedział gdzie Europa, gdzie szukać Krakowa,
A nawet był tak pilnym, tak chwili żałował,
Że kiedy świeczka zgasła, na pamięć rachował,
Wszyscy mu też pragnęli dostarczyć zabawy,
A mama śliczną piłkę przywiozła z Warszawy
Już po pilności — poszły w kąty dzieła:
Piłka czas cały zajęła.
Ledwie przetarł oczy zrana,
Dalej do piłki, książka nietykana.
Zeszły chwile do obiadu
A roboty ani śladu.
Tak dzień za dniem marnie ginie,
A czas jak płynie, tak płynie.
Widzi matka, że na nic wszelkie napomnienia,
Więc dla pana Ludwika także się odmienia.
Już to nie ta postać miła,
Co niegdyś trudy słodziła.
Z groźną postawą, łącząc głos surowy,
Temi przemawia słowy:
Kto nadużył dobroci, zasłużył na karę;
Odbieram piłkę, boś już przebrał miarę
Lubię wesołość, niewinne pustoty,
Lecz po zabawie — zaraz do roboty.
A kto na niczem śmie cały dzień trawić,
Nie wart się bawić.

Deszczyk

Mamo, rzekł Staś, deszczyk rosi,
Popłami kapelusz Zosi,

Jakże niepotrzebnie pada!
Tu matka dziecku wyklada:
Że deszczyk drogi dar nieba
On skwar słońca uładza,
Zieloną trawkę rozradza,
Wszystko rzeźwi, wszystko krzepi,
Kwiatek, drzewko, rośnie lepiej,
Bo Bóg wszystkim mądrze włada.
«O! kiedy tak, to niech pada!»

Grosz wdowi

W miejscu publicznem była skarbonka przybita,
Niejeden obojętnie jej napis przeczyta:
«Ofiara dla ubogich» — potem się odwróci.
I grosza nie rzuci.
Długo, długo próżną była,
Aż uboga kobieta pierwszy grosz wrzuciła.
Zaraz jakiś pan bogaty
Rzucił dukaty.
Mniej bogatego wzruszył wdziek tej cnoty,
Wkłada złoty.
Znów jakiegoś przechodnia skłania ta ofiara,
Rzuca talara.
Zkądże ta hojność? Cnoty czarująca władza,
Do grosza złoto sprowadza.
Dokądby jeszcze może puszka próżną stała,
Gdyby małej ofiary uboga nie dała.
Piękny przykład cuda działa.

Salusia

Nie wiedzieć, o co raz Salusia mała
Na mamę się rozdąsała:
Zapomniała nieboga, co to znaczy mama!
Zalana łzami idzie w pole sama,
I rzecze: Nie powrócę, choć mama zawoła”;
Wtem ją znienacka utnie żądłem pszczoła.
Salka w płacz. Jak nie płakać, kiedy kogo boli?
Znikła już chęć uporu, wraca mimo woli,
Dotychczas niezatarte nosi jeszcze znamię,
Uczcie się dzieci nie uchybiać mamie.

Powrót do chleba

«Jam smaczny placuszek z mąki jak śnieg białej
Na wierzchu mam rodzynki, cukier i migdały;
Spodziewam się, lube dziecię!
Że mi nad brzydkim chlebem dasz pierwszeństwo przecie.
Chodź, chodź dziecino do mnie!»

Na to chleb odpowie skromnie:
«Idź do niego, mnie opuść, przepowiadam śmiało,
Że się wrócisz niedługo». — Jakoż tak się stało:
Sprzykrzył mu się placuszek, więc dalej do chleba.
«Widzisz, rzecze chleb dziecku, gardzić mną nie trzeba.»

Tadeuszek

Raz swawolny Tadeuszek
Nawsadzał w flaszkę muszek,
A nie chcąc ich możyć głodem,
Ponarzucał chleba z miodem.
Widząc to ojciec przyniósł mu piernika
I nic nie mówiąc, drzwi na klucz zamyka.
Zaczął się prosić, płakał Tadeuszek,
A ojciec na to: „Nie więź biednych muszek”.
Siedział dzień cały. To go nauczyło:
Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło.

Dwa kotki

Były dwa kotki:
Jeden ładny, lecz z szafek wyjadał łakotki,
Drugi brzydki bury,
Ale płoszył szczury.
Powiedźcież mi dzieci, którego wolicie?
«Burego! burego!» — O dobrze robicie!
Bo ten godzien przychylności,
Kto dopełnia powinności;
A bardzo nieładnie,
Kiedy kotek kradnie.

Piesek i biedny koteczek

Spotkał raz piesek koteczka biednego,
I temi słowy przemawia do niego:
Żyliśmy kiedyś koteczku w niezgodzie,
Wszystko minęło, gdyś w nędzy i głodzie.
Oto najlepsze dają ci kosteczki
Mięsa kawałek i trochę bułeczki:
Jedz mój koteczku, żal mi cię nieboże!
Pomnij, że piesek dzieli się, czem może;
I ten co warczy, potrafi być tkliwy,
Nie pytam się, kto jesteś, dość, żeś nieszczęśliwy.

Ojciec i dzieci

Szedł ojciec z dziećmi w wiosennej porze,
I szedł w pole, gdzie kmiotek orze,
Skowronek śpiewa, pracę mu słodzi.
«Wkrótce» rzekł ojciec «ziarno powschodzi!»
Ale pytanie czy dojrzeje?
Czy spełni słodkie kmiotka nadzieje?
Może burzliwej ulegnie fali?
Może zbyt ciężki upał je spali?
Może je bydło wydepcze czyje?
Szarańcza zniszczy, lub grad wybije?
Czy już dlatego siał nie potrzeba?
Siejmy! w dobroci ufając nieba!

Emilka

Dobry przykład jest lepszy, niż napomnień krocie.
Emilka przy szlachetnych uczuć swej prostocie,
W całym blasku chlubnymi przymioty jaśniała;
A dlaczego? bo piękny przykład wkoło miała.
Słuchajcie, jak jej mama raz z nią postąpiła.
Emilka szła na wieczór, tak się wystroiła,
Jak gdyby na bal wielki. Nic nie mówi mama,
Lecz bardzo skromnie ubiera się sama.
Nie trzeba było więcej, domyślna dziecina
Odmienia strój, czempredziej błyskotki odpina,
I za chwilę
Skromnie ubraną ujrzano Emilkę.
Tym sposobem Emilka serce ukształcała,
Nie lękała się groźby, kary nie czekała,
Każdy za wzór wystawił tę dziecinę lubą.
Była płci swej zaletą i rodziny chlubą.

Słowik i kukulka

Nucił słowik przyjemnie wśród gęstego krzewu,
Ciekawy, czy też ludzi poruszy wdzięk śpiewu.
Ale gdzie tam, w powietrzu słodki odgłos ginie,
A chłopaki motyle gonią po dolinie.
Nowych sprężyn porusza, napróżno pierś sili,
A chłopaki się bawią, tak, jak się bawili.
Wtem kukulka zakukała.....
Zrywa się gromada cała,
Jaki taki ucieszony,
Naśladuje miłe tony
A kukulka sławie rada,
Znowu wdzięcznie odpowiada.
Nareszcie do słowika dumną mowę zwróci;
„Niech się jegomość nie smuci,
Jeśli wzgardzona ptaszyna

Cenioną już być zaczyna.
Widzę, że ci panicze
Znąją prawdziwe słodycze.
Uzna świat moją wyższość nad tobą słowiku,
Choć nie robię tyle krzyku”.
Jeszcze nie stanęła zgoda,
Nadchodzi pasterka młoda,
Słyszysz kukułkę i nie zwraca ucha.....
Śpiewa słowik... pasterka z zadumieniem słucha.
Słucha go i nieznaną rozkoszą oddycha.
To ją smutek ogarnie, znowu się uśmiecha,
A kiedy tak z jej sercem walczy jakaś siła,
Po rumianych jagodach łza się potoczyła.
„To jest tryumf prawdziwy, rzekł śpiewak wzruszony,
Niech odbiera kukułka okłaski, pokłony,
Moje serce do takiej nagrody nie wzdycha:
Nad wszystkie wieńce sławy, miłsza mi łza cicha.

Owieczka wypieszczona

Była to owieczka biała,
Niebieską wstążeczką koło szyjki miała,
A na tej wstążeczce był srebrny dzwoneczek:
Bo też to był klejnot ze wszystkich owieczek.
Ależ tę baziulkę w pieszczotach chowali,
Prawie nóżką ziemi dotknąć jej nie dali,
Kochali jak dziecię, na rękach nosili,
Trawką, kwiateczkami z rączki ją karmili,
A owa owieczka tak bardzo zhardziała,
Że z braćmi, siostrami, bawić się nie chciała.
Aż tu ktoś dziateczkom pieska podarował,
Żeby ich zabawiał, i u nich się chował;
Poszła w kąć owieczka. Czyż nie znacie dzieci?
U nich to najmiłsze, co nowo zaświeci.
Musiała owieczka pójść w pole z innemi,
Sama sobie trawki wyszukać po ziemi.
Lecz jej to do smaku wcale nie przypadło,
Nudne towarzystwo, nieprzyjemne jądło;
Nie dla niej, nie dla niej cały ród bydłęcy,
Ona siebie przecież za coś miała więcej.
A więc wszystkie od niej owieczki stroniły.
Nigdy się z tą wielką panią nie bawiły,
Była nieszczęśliwą; jakże być nie miała?
Gdy towarzyszkami swemi pogardzała.

Kłódeczka na usta

Kiedy masz co powiedzieć, zastanów się trochę,
Bo nie powróci słówko niegrzeczne lub płoche.
«Żeby to była taka kłódeczka,
Coby wstrzymała usteczka,
Gdy mają wyrzec co złego»,

Mówił Zygmuntek do tatki swego.
«Ma tę klódeczkę — tata odpowie,
Kto baczny w swojej rozmowie,
Kto nie mówi słówka,
Póki nie pomyśli główka,
A potem, jak kluczykiem, odmyka usteczka.
Rozwaga, to najlepsza na usta klódeczka».

Walerek

Mały Walerek
Dostał cukierek.
Z początku, swą słodyczą, rozkosz dziecku sprawił,
Ale cóż? wkrótce zniknął, niesmak pozostawił.
„Mamo! — rzecz Walerek, pełen podziwienia —
Dlaczegoż ten cukierek tak prędko smak zmienia?”
Matka na to odpowie: Nie dziw się, kochanie!
Z każdą rozkoszą zmysłów tak się zawsze stanie;
Tylko w rozkoszach serca nie doznasz tej zmiany:
Gardź tamtemi, a w tych smakuj, mój kochany”.

Chłopczyk ukarany

Piął się chłopczyk na drzewo, co nad rzeką stało,
Bo cudzych paniczowi gruszek się zachciało.
Ale na takich sprawkach każdy źle wychodzi:
Cudza własność jest świętą, tknąć się jej nie godzi.
I nasz chłopczyk to poznał, ale już po szkodzie.
Spadł, i gruszek nie dostał, i skąpał się w wodzie.

Słowik i paw

Słowik, co wdziękiem głosu serca rozwesela,
Tysiące miał zazdrosnych, nie miał przyjaciela;
Może go, rzecz, znajdę w innych ptaków rodzie,
Idzie i właśnie pawia spotyka w ogrodzie.
„Witaj pawiu, rzekł słowik, zaszedłszy mu drogę,
Ja się twojej piękności wydziwić nie mogę.”
„A mnie, paw mu odpowie, tve pienie zdumiewa,
Bo któż na świecie piękniej od słowika śpiewa?”
Więc bądźmy przyjaciółmi zazdrość nas nie zmieni,
Ty postacią zachwycasz, ja wdziękiem mych pieni;
Tam tylko nienawiści największa obawa,
Gdzie dwóch do jednej sławy rości sobie prawa.”

Druciarz

Szedł druciarz ulicą. Wy znacie druciarza?
Co «garnki drutować!» raz po raz powtarza.
Szedł w lichej odzieży, a mróz był niemały,
I ręce zacierał, i z zimna drżał cały.
Dwa złote mu chciała dać matka Marcyni;
Dziewczynka wstrzymuje: «Ach co mama czyni?
Wszakże on nie żebrak, ręki nie nadstawia?
On tylko drucikiem garnuszki naprawia».

MATKA

Gdy widzisz biednego nie czekaj aż prosi,
Ten czasem co błaga i łzami twarz rosi,
Jest chytry, podstępny; a nędza prawdziwa
Przed okiem litosnem nieraz się ukrywa.

Ręka prawa i lewa

Żyćcie, dzieci, zgodnie z sobą,
Bo zgoda najpiękniejszą rodziny ozdoba;
Szanujcie te lube związki,
Wy kwiaty jednej gałązki.
Wszakże codziennie widzicie,
Jak dwie rodzone siostry zgodne wiodą życie:
Z ręką prawą ręka lewa.
Jedna na drugą nigdy się nie gniewa,
Jedna dla drugiej uprzejma i szczerza,
Jedna drugą wiernie wspiera.
A chociaż czasem jedna z nich leniwa,
Druga jej bez mrużenia na pomoc przybywa.
Ale też za to jak piękna nagroda!
Ta śliczna zgoda
Obudwom niesie korzyści wzajemne.
Wiodąc życie przyjemne,
Żadna się z nich zbyteczną pracą nie obarcza,
Jedna i druga ciała posiłku dostarcza,
A ztąd obiedwie czerstwe mają siły.
Oby to tak rodzeństwa wszystkie z sobą żyły!

Broniś i ptaszki

Ujrzawszy ptaszek chłopczyka,
Jak się z siatkami przymyka,
Skoczył po rozum do głowy,
I temi zaśpiewał słowy:
«Widzę, masz na mnie chrapkę, ślęczysz nie daremnie
Lecz cóżby ci przyszło ze mnie?
Zbawiłbyś mię swobody, zamknąłbyś mię w klatkę,
A ja mam matkę.

Matkę, którą kocham tkliwie,
Teraz słaba, ja ją żywię,
Pośród wygod w twojej klatce,
Myślałbym tylko o matce.
A udręczon z każdej strony.
Zginąłbym osierocony.
Pomyśl, gdyby rozbójniki,
Nie dbając na płacze, krzyki,
W swej złości zapamiętali
Od matki cię oderwali!
Gdyby cię to nieszczęście w tej chwili spotkało,
Jakby ci się też wydawało?
Bóg mi dał życie; na życia osłodę
Przydał swobodę,
Cieszę się z tego daru, nie chciałbym umierać,
A ty biednej ptaszynie chcesz życie wydzierać!...»
«Nie, rzekł chłopczyk wzruszony, żyj ptaszku kochany,
Nie doznawaj w szczęściu zmiany,
Bądź pociechą drogiej matki,
Poniszczę już moje siatki.
I ty i twoi towarzysze mili,
Będziecie spokojnie żyli.
Niechaj ci piórka odrosną,
Ucz się śpiewać, wzbijać w górę;
A z każdą wiosną,
Nowym wdziękiem swych pieni ożywiaj naturę.»

Krzyżyk złoty

DZIECIĘ

Mamo! daj mi krzyżyk złoty.

MAMA

Dobrze, dziecię ukochane.
Krzyżyk będzie stróżem cnoty,
Doprowadzi cię do nieba,
Ale jedno przyrzec trzeba.

DZIECIĘ

O! ja na wszystko przystanę.

MAMA

Oto, pomnij, znak zbawienia
Na twej piersi odpoczywa;
Nie obraż niczem sumienia,
Niech się z ust twych wydobywa
Święta prawda słowo Boże;
W dobrem krzyżyk dopomoże,
Kiedy złe powstają chęci,
To miej krzyżyk na pamięci;
Kiedy serce smutek ciśnie,
Rzuć nań okiem, radość błyśnie,

Bo Ten, który niebem władnie,
Ziemskie troski gładzi snadnie. —

Dziecię matki usłuchało,
Słodki pokój w sercu miało,
I nosząc ów krzyżyk złoty,
Codziennie wzrastało w cnoty.

Motylki

Słońce nam błysnęło, łąki zielenieją,
Do słoneczka w górze kwiateczki się śmieją.
Tysiące motylków do kwiatów się złata,
Każdy skrzydełkami podobny do kwiatu.
A dziatki wesoło przepędzają chwilki
W cieniuchne siateczki chwytają motylki.
Hej! co wy robicie? dajcie pokój dziatki!
Wszak nie dla was samych dał Pan Bóg te kwiatki.

Dziadek przy kominku

W późnej, dżdżystej jesieni, w wieczornej godzinie,
Nałożono stos suchych drewek na kominie,
Palił się suty ogień, drewnienka trzaskały;
W garnuszkach dzieci piwo dla dziadunia grzały:
Opodal nieco siedział dziadzio posiwiwały,
Wdzięcznym okiem spoglądał na kochane wnuczki,
A że wiedział, jak lubią moralne nauczki,
Aby dziecińki zabawić
Tak im zaczął prawić:
«Patrzajcie, jaka słota, jak smutno na dworze!
Nie lepiej przy kominku posiedzieć w tej porze?
Nie zawsze tak wygodnie spoczywać będziecie,
Z ciepłego pokoiku w słotny świat pójdziecie,
Musicie znosić trudy, troski, niewygody,
Póki wam służy wiek czerstwy, wiek młody.
Ale gdy pożytecznie ten czas przepędzicie,
Z siwą głową do tego kominka wróćcie;
Miłe się piękne czyny będą wspominały.
Wnuki wam, jak wy dla mnie, będą piwo grzały
Nie zapomnijcież nauk dziadka przy kominku:
Młodość do pracy, trudów, starość do spoczynku.»

Łza matki

Cicho, cicho, Feluniu, mamę głowa boli,
Położy się, a Felcio niechaj nie swawoli
Lubię kiedyś wesoły, lecz teraz kochanie,
Niechaj na chwilkę wszelka zabawa ustanie.

Ja wiem, ty mamę kochasz, mama chce spoczynku,
Uspokójże się trochę, uspokój mój synku.»
Dość było dla dobrego, jak Felcio chłopczyka,
Poszedł do kącika,
Wziął książeczkę, usiadł cicho;
Ale jak na lichu,
Patrzy, bębenek leży,
Jakoś niechcący raz, drugi uderzy,
Z początku lekko, potem głośniejsz trocha...
A mama, na wpół z płaczem: «Tak mnie Felcio kocha?»
Zapomniałem się mamó, ach przepraszam mamę!»
I zadrżał na tę myśl samę.
«Wierzę ci moje dziecię, nie chciałbyś źle czynić,
Nie śmiem cię nawet winić;
Ale bądźże już cicho.» Pełen dobrej chęci,
Miał zakaz mamy w pamięci;
Cichuteńkko karteczkę po kartce rozkładał,
Lękał się kiedy wietrzyk między kartki wpadał.
Lecz niedługo tego było.
Słysząc szmer na ulicy, chłopczyka skorciło.
Powstaje i stołeczek przewraca z hałasem;
A mama się już ze snu ocknęła tymczasem.
Przypomniał sobie Feluś o mamy chorobie,
I czyniąc wyrzuty sobie,
Idzie przeproszać... ależ o smutny widoku
Postrzegł łzę w matki oku —
«Ach co to się znaczy?
Rzecz w rozpaczy,
Czyli się co mamie stało?»

MATKA

«Tak serce mnie zabolalo,
Że mam niegrzecznego syna,
Który o prośbie matki zapomina.»
Sprawiedliwe wyrzuty do serca trafiły,
Ukochaną jej rękę ścisnął z całej siły,
I całował serdecznie, oblał łez potokiem,
A matka rozczulona tym tkliwym widokiem,
Zapyta: «Czy kochasz mnie?» «Kocham,» odpowiedział
«Więc już odtąd Felunio będzie cicho siedział.»
I przebaczyła z serca. Szczęśliwy chłopczyka,
O napomnieniach matki już nie zapomina,
Wytrwał w dobrem do ostatka;
Ale długo pamiętał, że płakała matka.

Kłamstwo

Ach ratujcie! ratujcie! wołał pasterz młody,
Najpiękniejszą owieczkę, wilk mi porwał z trzody.
O ratujcie, ratujcie!» Przybiegli pasterze,
A on w śmiech: «Jam żartowałem, on jeszcze nie bierze,
Chciałem tylko doświadczyć, czy dobrze czuwacie:
Może mi się kiedy zdacie.
Ha, ha, ha, jakżem was też wyprowadził w pole,»

Raz, drugi się udały podobne swawole
Ale jednego ranka,
Wilk doprawdy pięknego porwał mu baranka.
Pasterz w krzyk i pomocy zewsząd z płaczem wzywa,
Nikt nie przybywa.
I prosi i błaga,
Nic nie pomaga.
Wilk uniósł zdobycz, pasterz poniósł stratę.
Taką się to za kłamstwo odbiera zapłatę!

Dziecię i konwalia

«Moja ty konwalijko, kochany kwiateczku!
Wyglądasz z za liści, jak gdyby z domeczku,
I na świat wyzierasz, a ziemia wesoło,
Przyjemnym widokiem otacza cię wkoło.
Ty rośniesz, domeczek opuszczasz zielony,
I wonność na wszystkie rozsypujesz strony; —
Tak mówił chłopczyzna do kwiatka ślicznego.
Tyś u mnie najmiłszy z ogródka całego;
Ja pracę, troskliwość poświęcę ci moję,
Oczyszczę, napoję.»
«Dzięki ci chłopczyku — kwiatek odpowiedział,
Trzeba jednak, żebyś wiedział,
Że nie z twojej łaski, dziecię!
Moja wonność, moje życie.
O! i mój wzrost nie od ciebie;
Mamy razem Ojca w niebie.
On nam dał wszystko, on nam dał życie,
Jego chwalmy lube dziecię!»

Wdzięczność

Gdy nadejdzie mroźna zima,
Biedny ptaszek nieraz w głodzie;
Bo na polu kłosów niema
Pusto w sadach i w ogrodzie.
W takiej tedy porze roku,
Wróbelek biedny, zgłodniały,
Usiadł na żłobie nieśmiały,
Gdzie konik miał dość obroku.
Gościnne zwierzę chętnie się podziela,
I pozyskuje w ptaszku przyjaciela,
A ten przyjaciel był wierny i stały
Kiedy nadeszły upały,
Muchy bardzo dokuczały,
Czynnie oganiał konika.
Z dobroci wdzięczność wynika.

Litośna dziecina

DZIECIĘ

Ostrożnie! ostrożnie! zdaleka, zdaleka!
Bo wielkie nieszczęście, motylku cię czeka,
To nie jest słoneczko, to świeca motylku,
W mych oczach niedawno zginęło tu kilku.
Trzymaj się okienek, lataj blisko ściany,
Bo zginiesz w męczarniach, motylku kochany.
I dziecię zawczasu motylka złapało,
Za oknem w kąciku schronienie mu dało.
Drżał z zimna nieborak, na dziecię narzekał;
Lecz skoro się zrana słoneczka doczekał,
Gdy okno otwarto, skrzydełka rozwinął,
Gdy poznał jak wielkie nieszczęście ominął,
Pomyślał; ach Boże! chwała Tobie! chwała!
Nagródź też dziecinie, co mnie uchowała.

Dwie mrówki

Mrówki dobre gospodynie,
Każda z nich rządnością słyne,
Przezorności przykład daje;
Lecz i tej cnoty różne są rodzaje.
Odmiennymi siostrzyczki dwie poszły drogami;
Która lepszą wybrała, oszczędzicie sami.
Jedna, łakoma przy swej przezorności,
Wsunęła się do domu pana bliskiej włości,
Co znalazła, to chwytiała:
Odrobinka cukru mała,
Galaretką, konfiturki,
Cytrynowej trochę skórki,
Kawałeczki migdałów, jak od szpilek główki,
Wszystko się zdało dla mrówki,
Wszystko wlokła do kryjówek.
A wesoła i szczęśliwa,
Ze zapasów jej przybywa,
Często sobie powtarzała:
Któż mrówka tyle miała!
Dnia pogodnego, w poranne godziny,
Idzie do siostry swojej w odwiedzinę,
I zastaje ją w komorze.
Ta przesypuje uzbierane zboże:
Tu pszenicy zdrowe ziarnka,
Owdzie proso, tam tatarka.

PIERWSZA

Śliczne widzę masz zapasy,
Na zimowe ciężkie czasy?

DRUGA

Mam, Bogu dzięki, zapasik niemały

PIERWSZA

Zboże! to mi specjały:
Luba siostrzo! przyznaj przecie,
Są lepsze rzeczy na świecie.
U mnie całe z cukru ściany,
Konfitury, marcepany,
Różne przyprawki
Do każdej potrawki.
Na to jej siostra odpowie:
Niechaj ci będzie na zdrowie,
Každy się stara jak może.
Miej ty sobie łakocie, dla mnie dobre zboże.
Nadszedł wrzesień,
Wilgotna była jesień,
Częste deszcze padały,
Cukry mrówce stopniały,
Zresztą wszystko pogniło,
Nic na zimę nie było.
Znowu mrówka do siostry. A siostra w komorze.
Jakżeś szczęśliwa, rzeczce, żeś zbierała zboże!
Znikły już moje zapasy,
A najcięższe idą czasy.
I łzami się zalała.
Nie turbuj się, odpowie siostrunia wspaniała,
Będzie tu i dla ciebie; ale od tej chwili
Rozważ i poznaj, że ci nie błędzili,
Co przestając na prostych tylko darach nieba,
Zbierali, co dla życia koniecznie potrzeba.

Lew i owieczka

«Broń się owco, lub zginiesz!» rzekł lew niespodzianie.
«Jazbym się miała bronić, najjaśniejszy panie?
Mnie łaskawa natura oręża nie dała,
Pokora i niewinność, to moja broń cała.»
«O niewinność nie pytam, pokory nie cenię.
Broń się, albo krwi twojej popłyną strumienie.»
«Czyń co chcesz, gdy niewinnej cnota nie zasłoni.
Ja znosić tylko umiem; innej nie mam broni.»
«Podoba mi się twoja skromność i odwaga,
Jej potęga nad samą dzikością przemaga,
Jesteś wolna, żyć będziesz, jest to tylko próba.
Nigdy ja nie myślałem pastwić się nad tobą:
Bo kto gnębi niewinność, bohater niewielki,
On w sercu krwi szlachetnej nie ma i kropelki.»

Listek

Wziął chłopczyk listek w rękę i na ziemię rzucił;
Listeczek nieboraczek bardzo się zasmucił.
«Ty mną gardzisz, powiedział, o! gardzić nie trzeba,
Ja tak jak ty, kochanku, mam początek z nieba;

Ja na tej pięknej ziemi razem z tobą żyję;
Jestem młody, wesoly, boską rosę piję;
Przyjdzie czas to zwiędnieję, i ty legniesz w grobie.
Cóż? nieprawdaż paniczu? podobniśmy sobie?

Zdjął chłopczyk listek z ziemi, podumał troszeczkę:
«Prawdę mówisz, powiedział, schowam cię w książeczkę,
A jeśli o tem kiedy znów zapomnę może,
To mi listku, przypomnij, gdy książkę otworzę.»

Skoczek dobroczynny

Podobało się dziecinie
Jak zwinnie skoczek na linie
Cuda prawie dokazywał.
Tysiące zręcznych obrotów
W jednej chwili zrobić gotów,
Po powietrzu jakby pływał,
A szybki jak błyskawica,
Wszystkich dziwi i zachwyca,
Każdy wielbi, każdy chwali;
Jednogłośnie oklask dali.
I naszemu się chłopczynie
Podobał skoczek na linie.

„Ach jak to pięknie, rzecz, mój kochany tato!”

Ojciec odpowiedział na to:

„Pięknie oklaski odbierać,

Ale on więcej umie, umie bliźnich wspierać.

Jego zręczność, jego siła,
Nieraz pożar ugasila;
Nieraz jego ręka śmiała
Z płomienia dziecię wyrwała;
Uszlachetnił swoją sztukę,
Z sercem połączył naukę.
Dziś, gdy oko twoje bawi,
Niech mu serce błogosławi;
Wielki w sztuce, wielki w czynie,
Niechaj imię jego słyń.

Przechadzka

Był to dzień majowy, wesoly, pogodny,
I wietrzyk od wschodu powiewał łagodny,
I konik świergotał, ptaszęta śpiewały,
Dziewczynki szły łąką, kwiateczki zbierały,
I doszły do lasku, usiadły pod cieniem.
Cieszył je strumyczek łagodnym mručeniem,
Niewinne kwiateczki spostrzegły na brzegu,
Widziały wiewiórkę i jelenia w biegu,
Widziały motylków skrzydełka w promycki,
I pilne pszczołeczki i złote chrząszczyki.
I były szczęśliwe, i wesole były,
I z słodkim uczuciem do domu wróciły.

«Ach jakże tam ślicznie, Elżbietko na dworze,
I jutro, siostruniu, pójdziemy tam może.»
Tak młodsza siostrzyczka do starszej mówiła.
«Zapewne pójdziemy, byleś grzeczną była,
Pójdziemy gdzie łączka w kwiateczki ubrana,
Uwielbiać będziemy Wszechmocnego Pana,
Co wszystko utworzył, upięknia i żywi,
Byśmy go kochali i byli szczęśliwi.

Gniazdo jaskółki

«Patrz mammo.» I dziecię mamie
Wskazało gniazdeczko w bramie.
«To ciekawe mammo droga,
Jak tam pod opieką Boga,
Bezpiecznie żyją ptaszęta.»

MATKA

Pan Bóg o każdym stworzeniu pamięta.

DZIECIĘ

Ależ, mammo, tamtędy wiele ludzi chodzi.

MATKA

Każdy wie, że jaskółki krzywdzić się nie godzi.

DZIECIĘ

Dzieci w bramie w piłkę grają.

MATKA

I dzieci mają serca, ostrożnie rzucają,
Zresztą Bóg niewinnych broni,
Nieraz gniazdo aniołek skrzydełkiem osłoni.

Zboże we młynie

Zboże na mąkę oddane do młyna,
Widząc zgon bliski, tak mówić poczyna,
„Panie młynarzu! uważcie też przecie,
Jakaż z mej śmierci korzyść mieć będziecie?
Nie lepiejby to było rozsiać na zagony,
I obfite zbierać plony?
Na to młynarz odpowie: „śmierć nas wszystkich czeka,
Tak was ziarnka, jak człowieka.
Wszystko ma przeznaczenie; już zasiane pola,
Wam inny los przeznacza odwiecznego wola.
Lecz nie drżycie przed śmiercią; żadne z was nie zginie
Postać zmienicie jedynie.
Wszystko, co was teraz szpeci,
Na bok odleci.

W drobnym pyłku, pyłku czystym,
Jaśniejąc blaskiem śnieżystym,
Wnijdziecie w wspaniałe sale,
W postaci świetnej na bale,
A za mężną śmierć w tej chwili,
Będą was wszyscy wielbili.”

Skończył, a chlubnie umrzeć wszystkie sobie życzą,
Śmierć utracą okropność, staje się słodyczą.

Gołębnik

W starym się gołębniku gołębie gnieździły.
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,
Bo tam ich karmiły matki,
Tam im się rodziły dziatki.
Właścicielowi przyszło coś do głowy
Wystawić gołębnik nowy.
Gustownie go wybudował,
Z wierzchu i wewnątrz nawet pomalował.
Sypał ziarna do tej budowy wspaniałej;
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić;
Zaczęły się bardzo smucić;
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły:
Bo im ten kącik był miły.
To wzruszyło ich pana, zebrał dawne szczątki,
I dla lubej im pamiątki,
W tem samym miejscu i takiej budowy,
Ze starego zrobił nowy,
Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe,
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

Jaś

Jaś niepomny na przestrogi,
Zerwał kłosek blisko drogi.
A że przykład wiele może,
Prawie każdy skubał zboże.
Na odpust do Czerniakowa
Pobożnych śpieszyło wiele,
Ludnej Warszawy połowa
Wyległa w ową niedzielę.
Tak kłosek po kłosku znika,
Rzednieje zboże nieznacznie.
Wtem się nawija kaleka,
I o wsparcie prosić zaczyna.
Jaki taki go omija,
Rzadko ręka wesprze czyja.
Z westchnieniem rzekł Jasio tkliwy:
«O jakże on nieszczęśliwy!
Czyby się każdy zubożył,
Gdyby mu choć grosz położył;

Ziarnko do ziarnka,
Byłaby miarka.»
«Niebaczny Jasiu! — nauczyciel przerwał —
Czemuś o tem zapomniał, kiedyś kłosek zerwał?
Pierwszą jest sprawiedliwość, dobroczynność potem
Jednej łzy skrzywdzonego nie oplacisz złotem.»

Wieczór pod drzewkami

Nie na tem szczęście nie na tem,
Ażeby być bogatym.
Znałem ja ubogie dziatki,
Pociechy ojca i matki,
Na górze chatka ich stała,
Drzewina ją ocieniała,
A pod cieniem tej drzewiny,
Siadały nieraz z dziaduniem dzieciny.
A on się z niemi bawił,
Albo nauczki prawił.
Wśród rozrywki, wśród pieszczoty,
Wpajał w serca piękne cnoty.
Jednego wieczora,
Tak pamiętam jakby wczora,
Siedział ten starzec pod drzewem na ławie.
Miłej się wnucząt przyglądał zabawie,
Potem starszego, Zygmuntkę, zawoła:
„Rzućno, kochane dziecię, okiem dookoła,
A potem w niebo wznies oko niewinne,
Tu i tam mieszka Bóstwo dobroczynne,
Tu i tam szczęścia, miłości kraina,
Choć twoja nie upływa w dostatki rodzina.
Jeżeli myśleć będziesz o serca ozdobie,
Codzień przyswoisz nową cnotę sobie,
Pójdiesz gościńcem od Boga wskazanym,
Oprzesz się złemu z mężstwem niezachwianem.
Zniesiesz ubóstwo i ciężar niedoli,
A Bóg ci szczęścia na ziemi pozwoli,
I w przyszłym życiu zgotuje nagrodę.”
Weszła nauczka w serduszek młode,
I inne dzieci, co to słyszały
Pobożnie rączki składały,
I rzekły razem: „Dziaduniu miły!
Wszystko co mówisz, będziemy robiły.”
A on ich żegnał, twarz łzami rosił,
I Boga dla nich o pomoc prosił.

Ludmiłka

«Jakże piękne książeczki musi mieć Ludmiła,
Z nich się pewnie grzeczności takiej nauczyła,
Nic dziwnego, że każdy jej postępkę chwali,» —
Tak Wicusi i Karolek z sobą rozmawiali.

Raz byli u niej w domu. Karolek się pyta:
«Jakie też książki czyta?»
Na to odpowie Ludmiła:
«Jeszcze mnie mama czytać nie uczyła.
A jeżeli co kiedy dobrego uczynię,
To z przykładu jedynie.
Skoro się moja lalka zbytecznie wystroi,
Mama mówi: jej taki ubiór nie przystoi.
Odmieniam zaraz suknię. Ztąd wnioskuje sobie
Ludmiło! i ty nie myśl o próżnej ozdobie.
Gdy się myje kanarek, to myślę: Ludmiło!
Zapomnieć o porządku pięknieży to było?
Kiedy wołam na pieska, on zaraz przybiega,
To mnie nieznacznie ostrzega,
Ażeby być posłuszną na mamy rozkazy,
Bo jej przykro, gdy mówi o jedno dwa razy.
Takich tylko nauczek trzyma się Ludmiła,
Im winna, jeśli serce trochę poprawiła.»

Pelikan i bocian

Opuszczon od rodziców, przyjaciół, rodziny,
Żył samotnie pelikan pośród gęstej trzciny,
I tem jedynie gorycz osładzał tęsknoty,
Że nie zboczył z drogi cnoty.
Chociaż go wszystko prawie opuściło w świecie
Znalazł on rozkosze przecie,
I nie zazdrościł gdy marnej igraszki
Inne po borach używały ptaszki.
Bocian, którego miłość ku rodzicom znana,
Napotkał samotnego w brzegach pelikana.
Oddawna pragnął po znać tego pustelnika;
Widok jego postawy wciąż gościa przenika;
Dobremu jak on dziecku jakąż radość sprawia,
Widzieć tego, co dzieciom własną pierś rozkrwawia?
«Synu zacnych rodziców! rzekł bocian wzruszony,
Przypadek mię tu w twoje przyprowadza strony,
Ale jakżem szczęśliwy, że tego poznaję,
Co miłości ojcowskiej rzadki przykład daje,
Lecz co widzę? tyś wesół, choć żyjesz w pustyni?
Cóż cię na rozkosz świata obojętnym czyni?»
«Mam ja, rzecze pelikan, okropne zgryzoty,
Niedawnom stracił matkę, uwielbianą z cnoty,
Opuścili mię wierni niegdyś przyjaciele,
Z nikim ani pociechy, ani łez nie dzielę;
Lecz Bóg, co okiem łaski na wszystkich spoziera,
On jeszcze nieszczęsnego pelikana wspiera.
Za tę małą cierpliwość, z którą troski znoszę,
Wlał w serce moje, innym nieznanne rozkosze:
Te osładzają życie powleczone chmurą,
I w niebo przemieniają pustynię ponurą.»
Kto się z młodu nauczył mężnie walczyć z losem,
Cenić rozkosze serca, iść za cnoty głosem,

Komu czarnych sumienie wyrzutów nie czyni,
Ten może być szczęśliwym nawet wśród pustyni.

Adaś

«Zegnij to małe drzewko!» rzekł ojciec do syna.
Adaś je łatwo zgina.
«A to większe.» Już trudniej, jednak żwawe dziecię,
Zgina je przecie.
«Teraz, luby Adasiu, gnij to drzewko spore,
Co już znacznie od ziemi podniosło się w górę.»
Próżne usiłowania — Adaś zmordowany,
«Ja go, rzeczce, nie wzruszę, mój tato kochany.»
«Otóż widzisz mój synu, — rzekł ojciec ze łzami —
Coś doświadczył na drzewach, to się dzieje z wami:
Pókiście jeszcze młode, jak pierwsza drzewina,
Ojciec w którą chce stronę łatwo was nagina,
Ku pracy, pobożności, nauce i cnotcie;
Ale skoro wzrośniecie w nalogach, ciemnocie,
Już was ojciec sprostować nie zdoła, jak pragnie,
Już was do cnoty nie nagnie.»

Dwa gołąbki

Dwa podobne gołąbki, bieluchne jak mleko,
Zrodzone, wychowane od siebie daleko,
Przypadkiem, czy pociągiem niewidzialnej siły,
Razem się jakoś złączyły.
Serce do serca przyłgnęło odrazu,
Jakby magnes ku żelazu.
Już od pierwszego na siebie spojrzenia,
Jedno z drugim duszę mienia:
I tak ogniwy łączą się ściślemi,
Że nikogo prócz siebie nie widzą na ziemi.
Razem jedzą, razem piją.
Jednem prawie tchnieniem żyją.
Jedno gniazdo sobie ścielą,
Jednem się ziarnkiem dzielą.
Gdyby kto widział miłość, wierność, zgodę,
Jaka łączyła te ptaszyny młode,
Wyznałby z trjumpfem przecie,
Że jest jeszcze przyjaźń w świecie.
Lecz niema szczęścia bez trosk, jak róży bez cierni;
Niedługo z sobą żyli przyjaciele wierni:
Jeden pociskiem śmierci ugodzony skrycie,
Drugi pozostał by wiódł nędzne życie.
Ale bóstwo na świecie wszystko mądrze czyni,
Ów, co zgaśł, ciągnie rydwan Knidyjskiej bogini,
A ten, co tu na ziemi lży rozpaczy leje,
Z nim się przecież połączyć ma jeszcze nadzieję.

Żydek

Szła dziecinka, biedna wynędzniała,
Oczki rączką zasłaniała,
Spostrzega to przez okno dobroczynna pani,
I chleba posyła dla niej.
Cieszy się już zawczasu myślą pięknej cnoty,
Bo cóż milej, jak ulżyć cierpieniom sieroty?
Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana,
„Ach — rzecz — pani kochana!
To żydziak, a któż widział wspomagać żydziaka?”
Dobrą panią uwaga oburzyła taka.
„Ale biedny — odpowie wesprzeć go potrzeba;
Idź, natychmiast mu zanieść ten kawałek chleba
On bliźni, nic nie znaczy w wyznaniu różnica,
Wszak jednakowo słońce wszystkim nam przyświeca.”

Wiewiórka i małpa

Jeszcze w zielonej skórce,
Dostał się orzech wiewiórce,
Ledwie go dotknie drobnymi ząbkami,
„Jakże mię, rzecz, moja matka mami,
Nieraz mi to powiadała,
Że orzeszek potrawa arcydoskonała.
Dziękuję za nią”. Wtem rzuci orzechem,
Podjęła go małpa z śmiechem;
Bierze w łapki, rozłupywa,
Słodkie ziarnko wydobywa,
I gdy go zajada sama,
Rzecz wiewiórce: „Dobrze mówi mama,
Dobry orzeszek, lecz trzeba zgryść wprzód.
Trzeba wprzód popracować, kto chce mieć wygody.”

Zwierciadło Rózi

Raz kiedy Rózia zapłakaną była,
Mama zwierciadło przed nią postawiła.
„Patrzno, rzecz, ta dziewczynka,
U której tak krzywa minka,
Co jej oczki lezka słoni,
I wesoło spojrzeć broni,
Co twarzyczkę ma nabrzmiałą,
W płamkach całą,
U której na czole chmurka,
To jest Rózia moja córka.
Pamiętaj dobrze, coś teraz widziała”.
Potem o zwierciadelku Rózia zapomniała,
Była grzeczna, uprzejma, wesoła,
Chmurka ustąpiła z czoła,

Śliczny błysnął rumieniec na twarzyczce białej,
Oczy jak gwiazdki błyszcząły.
Znowu do zwierciadła prowadzi ją mama
„Widziałaś tu dziewczynkę, patrz, czy to ta sama?”
Różia swym oczom wierzyć nie może.
Jak się w tem szkiełku zmieniło, mój Boże!
Uśmiechnęła się matka. — „Nie, Róziu kochana,
W tobie, ale nie w szkiełku nastąpiła zmiana,
Gdy Różia będzie grzeczna, łagodna, wesoła,
Szkiełko zeszpecić nie zdoła;
Gdy się tem nie przyozdobi,
Piękną zwierciadło nie zrobi”.

Kruk z dzwonkiem

Nie jest to nowiną żadną,
Że kruki kradną;
Jednak i dla człowieka zda się stąd nauka:
Na pewnym dworze wychowano kruka;
A ponieważ go wzięto, ledwo się urodził,
Nie więziono go w klatce, gdzie chciał sobie chodzić
Z pokoju do pokoju, bez żadnej przeszkody,
Przechadzał się kruczek młody;
A że do kobiet zwykle lgną ptaszęta,
Najbardziej lubił wpaść między dziewczęta.
Zawsze dzień dobry powiedział im zrana,
Odwiedzał jednak i pana;
Przylatał czasem do dzieci,
Czasem i na dwór wyleci,
Biegnie w ogród dla połowu
I wraca znowu.
Wszędzie go pełno, wszędzie on się znęci,
A wszędzie figła spleta, gdzie się tylko wkręci,
Raz u panien igliczka gdzieś się zapodziała,
Lecz igliczka to rzecz mała,
Na igliczce świat nie stoi.
Wkrótce o szkodzie zapomniano swojej.
Jakoś znów niezadługo służącej dziewczynie,
Naparstek ginie.
Dalej zginął pierścionek z drogimi kamyki,
I brylantowe kółczyki.
Tu dopiero harmider, dom się w piekło zmienia,
Pełno było domysłów, pełno podejrzania,
A nikomu w myśl nie wpadnie,
Że to młody kruczek kradnie.
Raz się ów panicz zbliżył do stolika,
Porywa srebrny dzwonek i przez okno zmyka.
Dzwoni... a na ten odgłos służący wybiega,
I na gorącym razie złodzieja spostrzega.
«A tuś mi! to ty ptaszku takie płatasz lichy?»
Rzekł i tuż za złodziejem posuwa się cicho.
Idzie za głosem dzwonka kroki powolnemi,
Widzi, jak kruk nieznacznie spuszcza się ku ziemi,
Jak szuka miejsca tego, gdzie skarby posiada,

Jak do dawnych zdobyczy nową zdobycz składa,
Jak się różnych błyskotek nasycy widokiem,
Jak zazdrośnie przed ludzkim ukrywa je okiem,
A gdy już ma ulecieć, znienacka go chwyta.
Zawsze być musi zbrodnia przed światem odkryta.

Chmurka

Patrzaj, patrzaj moje dziecię!
Płynie chmurka po błękitach.
Jaka lekka! jaka mała!
Patrz! teraz się rozsypała;
Skoro się złączy z tamtymi,
Będzie tu deszczyk na ziemi;
A ten deszczyk Pan Bóg daje,
By zakwitły niwy, gaje.
Jak ta chmurka, tak, dziecino,
Małe troski życia płyną,
A potem się razem ścisną,
W oczach ludzkich łzy zabłysną,
A po łezkach, wśród tęsknoty,
Jak kwiateczki rosną cnoty.

Skowronek

Powiem rzecz pewną, a przytem ciekawą:
Skowronek zdjęty nowych odkryć sławą,
Siadł nad kominem i dumać poczyna?
„Czy tam nie lepiej u spodu komina?”
Chodzi dokoła, zagląda, przeziera,
Nigdzie się jasny widok nie otwiera,
Wszystkie starania daremne,
Jakieś same kraje ciemne.
Chciałby się spuścić na dół, bojaźń go przenika,
Chciałby pozostać, ciekawość dopieka.
Nareszcie chęć odmiany bierze nad nim górę:
Puszcza się w kraje ponure.
Ledwie wstąpił jedną nogą,
Skrzydła go wstrzymać nie mogą.
Ciężar go ciągnie na dół, bojaźń w górę wspina,
Przemogła ciężkość, upada ptaszyna.
Mniema że się dostała do lepszego świata,
Puszcza się śmiało, krąży, buja, lata,
Ale niestety! po niedługiej chwili,
Widzi, jak się bardzo myli.
O drzwi, o ściany tłucze sobie głowę,
Coraz zawady napotyka nowe,
A nawet okna przejrzyste,
Jasne jak światło, jak powietrze czyste,
Tłumiąc lot biednego ptaka,
Zatrzymują nieboraka

Tak ten, co w wzniosłym locie ledwie był dojrzany,
Zakończył nędznie życie między czterema ścianami.

Jabłoń i chłopczyk

Wszedł chłopczyk do ogrodu, stanął przy jabłoni,
I tak przemawia do niej:

«Moja ty jabłoneczko, drzewko ukochane;
O jakież ty masz śliczne jabłuszka rumiane!
Patrząc na twoje szczęście, serce się rozplywa».

Na to jabłoń odpowie: «Tak, jestem szczęśliwa
Alem ja nie odrazu taką jak dziś była:
Najprzód mnie ręka Boska ziarnkiem utworzyła.
Byłam bardzo maleńką, kiedym wyszła z ziemi,
Ledwie mnie kto mógł dojrzeć z listkami mojemu.
Rosłam szybko, wesoło, przy Boskiej pomocy,
W dzień świeciło mi słońce, rosę miałam w nocy;
Kiedy deszczyk polewał pola i ogrody,
I mnie się też dostało. Abyłam uszła szkody,
Z czasem przychylna ręka podporę mi dała,
Skorom po kilku latach już siły nabrała;
Wiosna z wonnych kwiateczków uwiła wianuszek,
A dziś mi Bóg łaskawy dał tyle jabłuszek.
Tak jak się ze mną działo, tak się z wami dzieje,
W maleńkich pokładają rodzice nadzieję,
Pan Bóg czuwa nad niemi, przełożeni strzegą,
A kiedy dojrzałego już wieku dobiegą,
Trudów, starań, zabiegów owoce przynoszą,
Pożytkiem są dla kraju, rodziców rozkoszą».

Alinka

Widziałem, jak nieśmiało raz Alinka mała,
Bez pomocy piastunki, nóżeczki stawiała;

Wtedy jak wśród wody trzcinka,
Chwiała się Alinka.

Ojciec i matka i każde z rodziny,
Śledziło chciwie słaby krok dzieciny,

A jeśli upadać miała,

Przychylna ją ręka wstrzymała.

Kiedy się upaść dziecinie zdarzyło,

Żadnych tam gniewów nie było;

Nikt jej o to nie winił,

I wyrzutów nie czynił,

Ale czempredziej pospieszył,

Podniósł, pogłaskał, pocieszył.

Mama do niej mówiła: «Alineczko droga!

Widzisz, kochanie, jak się stawia noga,

A za nią druga posunie się snadnie,

I Alinka nie upadnie».

Tak każdy dawał rady,

Każdy usuwał zawady,

I dziś już, Bogu dzięki, niebezpieczeństw niema,
Alinka dobrze na nóżkach się trzyma.

Jeśli upadek ujrzysz przyjaciela,
Niech mu twa dobroć pomocy udziela
Bez gniewu, wyrzutów, łajania,
Niech go ku dobremu skłania.

Chłopczyk wśród drogi

Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężko
Ten ciężar nie wszystkim zarówno jest miły,
Kazali, cóż robić? iść musiał do szkoły.
«Stój — z płaczem przemówił do lecącej pszczoły —
Stój, pszczołko, na chwilę i pomów z dzieciną:
Tyś sobie wesoła... mnie z oczu łzy płyną.
Ja idę do szkoły, tam człowiek surowy,
Ni tam się uśmiechnąć, ni tam z kim rozmowy
Wstrzymaj się, pszczołeczko, przychylnie wskaż oko
Nauczysz mnie może tak latać wysoko».
A pszczołka mu rzekła: — «Wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę.
O! muszę dokończyć mego plastru miodu,
Gdy zima nadejdzie, zginęłabym z głodu.
Jak piękną pogodę zesłały nam nieba!
Bądź zdrow mój chłopczyku, korzystać z niej trzeba».

Wtem leci jaskółka, a chłopczyk ją goni,
I znowu ze łzami przemawia do niej:
«Wstrzymaj się jaskółko, i zabaw się ze mną,
Ja ciebie tak lubię, trzeba być wzajemną».
«Nie, dziecię kochane, wstrzymać się nie mogę.
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę.
Mam wielu przyjaciół i wieść im przynoszę,
Że się już wiosniane zbliżają rozkosze.
Niech się tej pociechy dowiedzą odemnie;
Nie, nie mogę chwili tracić nadaremnie».
I stanął jak wryty ów chłopczyk zdumiały,
I znowu mu z oczu łez krople padały,
I znowu szedł zwolna... Wtem brytan wypada.
«Mój ty psie kochany! — chłopczyna powiada —
Czy się też pozwolisz przybliżyć dziecinie?
Ja w tobie pociechę pokładam jedynie;
Nie cierpię tych książek. .. już ręce zdrętwiały,
Bodajto się bawić! swawolić dzień cały!
O! jakże to wasze przyjemne jest życie:
Biegacie swobodnie i nic nie robicie».
«O bardzo się mylisz — rzekł bryś do chłopczyka —
Czy widzisz opodal na polu rolnika?»
«No widzę!» — To pan mój, pracuje on w pocie;
Lecz i ja mu ulgę przynoszę w robocie.
Tak, wielkiej odemnie doznaje pomocy:
On wstaje ze świtem, ja nie śpię i w nocy,
Ja czuwam, by jego nie zmarniał majątek,
I każdy troskliwie obejrzę zakątek,
I wołu przebudzam, co ziemię tę orze,

By plenne dla ludzi zrodziło się zboże.
Tak, pracą się wszystko na świecie ustala,
Gdy głód nam zagraża, praca go oddala,
A każdy przy pracy tak czerstwy, wesoły;
O! porzuć lenistwo, idź dziecię do szkoły»

Bryś

«Moje psy — rzeczce raz pan — żeście wierni stróże,
Sprawię wam wszystkim obróże;
By się zaś wasza nagrodziła cnota,
Nie każę oszczędzać złota».
Na to rzeczce Bryś wierny, sługa najdawniejszy:
«Panie! twoja nagroda cenę zasług zmniejszy,
Wierność jest obowiązkiem dla dobrego pana,
Nie powiększy jej pewnie obróż pozłacana.
Gdybyśmy ci służyli tylko dla obróży,
Ktoby błysnął piękniejszą, znalazłby w nas stróży»

Dąb umierający

«Sto lat przeżyłem na tej pięknej ziemi,
Rosły drzewa i nikły przed oczyma memi,
Widziałem wkoło kwiaty, znowu śniegi, lody,
Przetrwałem burze, przeżyłem pogody,»
Mówił dąb konający. Na to rzeczce kwiatek:
«Prawda, że pięknych doczekałeś latek,
Lecz którym się też cieszysz najbardziej wspomnieniem?»

DĄB

Tem, gdy ludzi strudzonych osłaniałem cieniem.

Fijołek

Przyjemny fijołeczku, piękne Flory dziecię!
Powiedz, czemuś tak skromne obrał sobie życie?
Milczysz, i przed mym wzrokiem ukrywasz się w trawie,
Więc ja twą tajemnicę przed światem wyjawię.
Kiedy nadobne kwiatki wyszły z Bóstwa ręki,
Cudne każdy odebrał, lecz nierówne wdzięki:
Tego barwa zdobiła, tego wzrost wspaniały,
Tego przyjemne wonie zmysły zachwycaly.
Inny się z ujmującej podobał prostoty;
Fijołek wszystkie w sobie jednoczył przymioty.
Jednaby może róża wdziękiem go przyćmiła,
Gdyby nieco skromniejszą i bez cierni była.
Tak rósł między innemi w przyjaźni i zgodzie,
Wszędzie go było pełno, po łąkach, w ogrodzie,

Żył spokojnie, dopóki nie znalazł pochwały.
Ale gdy uwielbienia ze wszystkich stron zabrzmiały,
Obudziła się zazdrość w gronie towarzyszy;
Już nieznośne szemranie wkoło siebie słyszy,
Już nie takim, jak dawniej patrzy się nań okiem,
Každyby nienawistnym rad go pożreć wzrokiem:
Stracił miłość, spokojność, szczęście, przyjacieli,
Natrętni wielbiciele nudzić go zaczęli,
Zalety zasłużone już mu spowszedniały,
Wszystko, wszystko utracił, prócz cnoty i chwały.
Chwałą gardzi, rozliczne porzuca siedliska,
Uchodzi z miejsc otwartych i w trawkę się wciska,
Tam, daleki od świata, swe zaszczyty kryje.
Sam w sobie szuka szczęścia i spokojnie żyje.
Jakaż ztąd dla nas wypłynie nauka?
Kto pragnie szczęścia, niech go w sobie szuka,
Niech za znikomą próżnością nie goni,
I cnotę pełni w ustroniu.

Wiśniak

Biedny wiśniak, rozliczne wytrwawszy przypadki,
Rzekł: „jabym tylko pragnął lichej jakiej chatki,
Krowy, owieczki i szkapiny starej;”
Spotkały go te dary.
Nasz wiśniak już szczęśliwy. Któż bardziej być może?
Wkrótce kradną mu owcę: „wola twoja Boże!
Mam jeszcze, mówił, chatkę, kobyłkę i krowę.”
Ależ nieszczęście spotyka go nowe:
Ginie krówka i pada klaczka wynędzniała;
Lepianka tylko została.
Ten, co próżno za szczęściem od tak dawna gonił,
Łzy nie uronił.
Raz zrana, niespodzianie wchodzi podstarość,
I w imieniu dziedzica żąda zaległości,
Odwieczne wspomina długi,
Nawet każe mu płacić, co był winien drugi:
Jakieś tam czynsze, daniny, podatki,
A że nie miał pieniędzy, wypędza go z chatki,
Płaczą dobrzy sąsiedzi nad losem sąsiada.
„Nie, rzeczce, ten nie zginął, kto zdrowie posiada;
Bądźcie o mnie spokojni; mam jeszcze dość siły:
Ot pożyczcie mi tylko siekiery i piły”.
Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski,
Pracował i oszczędzał. Przy pomocy Boskiej,
Niezadługo założył gospodarstwo nowe;
Znowu ma owcę, konia, chałupkę i krowę.

Dwa pieski

Azor i Wierniś byli dwaj bracia rodzeni,
A że często naturę wychowanie zmieni,

Różnicę między braćmi wielką spostrzeżono.
Azorka łakociami samemi karmiono,
Na puchach piesek spoczywał,
A jeszcze się czasem gniewał.
Wierniś jadł co mu dali, chleb nawet razowy,
I nigdy mu wymysły nie przyszły do głowy.
Nadeszły inne czasy, nastąpiła zmiana,
Utracił Azor łaskawego pana;
Nikt mu przysmaków nie dawał,
Dosyć kiedy miał kości, albo chleba kawał.
Nic mu nie smakowało, a Wierniś się dziwił,
Że się czasem braciszek i na mięso krzywił.
Co więcej: Wierniś sobie spał smacznie na dworze,
A braciszek i oka zamrużyć nie może;
Słowem, czy ścisły mrozy, czy przyszły ulewy,
Drżał od zimna i płakał Azor nieszczęśliwy.
I człowiek, gdy w pieszczotach z młodu wychowany,
Nie potrafi cierpliwie znieść losu odmiany.

Ojciec i syn

«Zkąd wiesz tak wiele kochany tato?
Zkąd to, że kochasz tak ludzi?
A ojciec dziecku odpowie na to:
«Bóg w sercu te czucia budzi.
Koło kościółka był domek mały,
Tam się wychował twój tatko,
Tam mu swobodnie chwile zbiegały,
Niejedno przeżył tam latko.
Dzwony go ze snu budziły rano,
I wstawał śpiewać z ptaszęty,
A nim skromny posiłek dano,
Odmówił paciorek święty.
Potem ogródek wkoło okrążył,
Każdą odwiedził roślinkę,
Szybko do dziadzi swego dążył,
By się pouczyć z godzinkę.
Dziadzio mu z czuciem o Bogu prawił,
Cuda mu Boskie wykladał,
Wnuczek się razem uczył i bawił,
Ciekawie dziadunia badał.
Dziecię!... rzekł dziadzio, miał coś wyłożyć,
A wtem nadchodzi kaleka,
Wnuczekby nie chciał nauk odłożyć,
Niech sobie — rzecz — poczeka.
O nie kochanku, pierwszy ubogi;
Posłuchaj serca swojego,
Za nic nauki, za nic przestrogi,
Nad wszystko miłość bliźniego.

Święto to dla mnie była nauka,
Dotąd brzmia w uchu te słowa,
I to, co mówił dziadzio do wnuka,
Na wieki serce zachowa.»

Groby

W milej ustroni ogrodu,
Pośród gęstych drzewin chłodu,
Bez przepychu i ozdoby,
Miłych osób były groby.
Bliska z granitu kolumna,
Z olbrzymiej postawy dumna,
Na jeden z grobów spojrzawszy z góry,
Rzecz: «Kamieniu ponury!
Czemuż tym miejscom wydierasz ozdoby!
Precz na cmentarz, smutne groby!»
Człowiek, co właśnie grób polewał łzami,
Tak za milemi ujął się grobami:
«Nieczuły głazie! pomnij, żeś ty z niemi
Z jednej wykowany ziemi,
Ta tylko między wami właściwie różnica,
Ty tu stoisz bez celu, a tych cel zaszczyca;
Twoim gardzę widokiem, przy nich wspomnę sobie,
Że miłość, przyjaźń wdzięczność nie ginie i w grobie.»

Kruk i łabędź

W pięknym Dzikowskim ogrodzie,
Pływał wspaniały łabędź po przejrzystej wodzie,
A wyciągając szyję w najrzęczniejszym ruchu,
Rozświecał blask wokoło śnieżystego puchu.
Kruk siedzący na drzewie niedaleko wody,
Zdumiewał się nad wdziękiem precudnej urody.
Chciał mu zrównać w białości, doświadcza kąpieli,
Ale czarność wrodzona już się nie wybieli;
Napróżno wszelkich starań w umyciu używa,
Po czarnych jego piórach czysta woda spływa.
W bezskutecznych zamiarach czas mu zniknął marny,
Jak czarny wstąpił w wodę, tak i wyszedł czarny.
Zazdrość go gniewem zapala,
Inny więc pomysł uchwała;
A nie mogąc dosięgnąć chwały,
By był taki jak on biały,
Chociaż tego chce dokazać,
By tamtego białość zmazać.
Do tak podłego zamiaru,
Kruk, znany z swoich sprawek, ma aż nadto daru,
Więc od nocy do poranku
Czycha na to bez przestanku.
Ale łabędź ostrożny, pływając po wodzie,
Długo nie uległ przygodzie.
Kruk się nareszcie do podstępu bierze,
Udaje przyjaźń nieszczerze:
Przez pochlebstwa, ulegania,
Zwolna łabędzia nakłania,
By wzgardził czem go hojna obdarza natura,

I poczerzył swoje pióra,
Wkrótce przyjaciel mniemany,
Ziściwszy cel pożądanym,
Śmiech mu ze wzdargą zostawia w nagrodzie.
Poznał łabędź błąd po szkodzie,
Co tchu do wody przybywa.
Szczęściem czarność się odmywa;
Ale jednak cząstka mała,
Przy dziobie mu pozostała.
I od tej to właśnie doby.
Czarne plamki mają dzioby,

Co stało się z łabędziem, to dzieje się z nami,
Zbyt się trudno oczyścić, gdy kto się raz splami;
Mimo usilne staranie,
Zawsze plamka pozostanie.

Anielka

Anielka dobre dziecię,
Już w młodości kwiecie
Nie chciała myśleć o świecie.
Bogu oddana, w modlitwie i poście,
Radaby deptać po cierniu i oście,
Ciało dręczyć a duszę tylko oswobodzić,
Bo trudno, jak mówiła, jedno z drugim zgodzić.
Anielko! piękne twoje zamiary i cele,
Lecz pomnij kto umieścił ludzką duszę w ciele?
Kto dał serce i na co? a serce jest ciało,
To serce ma być zdrowe, ażeby kochało;
Zdrowem sercem ukochaj wszystkich rzeczy Pana:
Wejdz do ogrodu zrana,
Kiedy się róża w pełni rozwija,
I spytaj: czyja ręka rozwija ją, czyja?
A potem wyjdź z ogrodu, na ten świat przestrony,
Patrz: wszystko pragnie twojej pomocy, ochrony.
Tu dźwigniesz upadłego, tam wesprzesz sierotę,
A Bogu na ołtarzu czynną złożysz cnotę,
Jedno żywe uczucie bardziej Boga chwali,
Niż gdybyśmy Mu skarby największe oddali.
Tak Bóg chce być chwalonym, na to człeka stworzył.
Czynnym i sprawiedliwym Niebiosa otworzył.
Żyj z ludźmi i dla ludzi chwal czynami Boga,
To jest do Nieba droga.
Posłuchała Anielka pobożna i tkliwa,
Poznała, że wśród świata może być szczęśliwa,
Nie myślała jak z więzów duszę wyswobodzić,
I umiała pobożność z czynną cnotą zgodzić.

Gospodarz i czeladka

Kochane dziecieczki! jeszcze sług nie macie,
Same się czeszecie, same ubieracie;
A gdy wam służący pomocy udziela,
To ją przyjmujcie, jak od przyjaciela,
Bo on wam nie służy, wy mu nie płacie,
Grzecznym tylko bywa, kiedy grzeczne dziecię.
Lecz dziecię dziecięciem niedługo zostanie,
Z chłopców gospodarze, z dziewcząt będą panie,
Będziecie mieć sługi, bądźcie ich godnemi,
Pocziwie, łagodnie obchodźcie się z niemi;
Bądźcie o nich dbali tak jak o was matki,
I miejcie na sercu zbawienie czeladki.

Opowiem wam, dzieci, jak dawniej bywało:
Z powszechnym pożytkiem, z Pana Boga chwałą,
Gospodarz jak ojciec, a służy jak dziatki,
Razem się zbierali do jednej komnatki.
Mówili pacierze, śpiewali piosenki,
Dziękowali Bogu, za dar z Jego ręki.
A potem gospodarz czytał słowo Boże,
Tłómaczył, wyjaśniał, co to Pan Bóg może.
Jak on wszystko widzi, jak dobrym być trzeba,
Jak na urodzaje deszczyk zsyła z nieba;
Bez niego i kropla na ziemię nie padnie,
On wszystko na świecie urządził tak ładnie,
Chwałmy Imię Jego. — Padli na kolana,
I znowu śpiewali na cześć Panów Pana.
Przyszła uroczystość, znowu wszyscy razem
Uklękli pobożnie przed świętym obrazem,
Znowu się modlili i znowu śpiewali,
Przykład pobożności z gospodarza brali.
Był też lud pocziwy, nie ukrzywdził pana,
Pracował sumiennie od nocy do rana;
Bo był przekonany, że Bóg widzi z niebia
I że z pobożnością cnotę łączyć trzeba.

Dziateczki! dziateczki! jakże wam się zdaje,
Wszakże miłe sercu święte obyczaje?
Od was to zależy, wskrzesić je możecie,
A dobrze, pocziwie, znów będzie na świecie.

Uгода z wróblami

OGRODNIK

Wróblu żarłoku!
Moich owoców śmiesz dopadać z boku,
Zrywać wiśnie, winogrona?
O! to rzecz nieprzebaczona!

— Niewdzięczni ludzie! — wróbel odpowiada —
A kto najwięcej tych owoców zjada,
A raczej niszczy w zarodzie?

Kto najstraszniejszym złodziejem w ogrodzie?
Czy nie znacie gąsienic? a kto to je gubi?
Że biedny wróbel zjeść jagódkę lubi,
To też na nią i pracuje:
Wy wsadzicie, wszczepicie, on ją pielęgnuje,
Sprząta liszki, gdzie wasze oko nie dostrzeże:
On do spółki należy, a małą część bierze.
Oddawna ta ugoda była między nami,
Lecz kiedy ją zrywacie, to strzeżcie już sami.

OGRODNIK

Przepraszam cię, wróbelku, myśmy żartowali;
Godzien kilku jagódek, kto tysiąc ocali;
Masz widzę do nich prawo z odwiecznej ugody,
Strzeż wiernie naszych drzewek, jedz śmiało jagody.
Podzielimy się z tobą bez wszelkiej zawiści;
Pan chętnie wiernym sługom odstąpi korzyści.

Mrówki

Motyl pięknymi połyskując płatki,
Złatywał z kwiatów na kwiatki,
Właśnie z swojego gniazda wyszła mrówka młoda,
Uderzyła ją w oczy motyla uroda;
Jego postać powabna i jego lot śmiały,
Nadewszystko się młodej mrówce podobały.
Odwraca się do matki, co właśnie w tej chwili
Niesie ciężar pożywny i pod nim się chyli,
«Matko! rzecze, — robaczek nad różanym krzaczkiem,
Wszakże jest także takim jak i my robaczkiem,
A jednak taki piękny, wesoły, swobodny!
Zazdrości godny.
Wszystkie moje dostatki z ochotąbym dała,
Żebym była tak piękna, tak sobie latała.» —
Młodaś, przerwie jej matka, nie masz doświadczenia,
Ale skoro się dowiesz, jak swą postać zmienia,
Czem był dawniej, jak nabył tę pstrocinę marną,
Wolisz chodzić po ziemi i wolisz być czarną.
Słuchaj: najprzód się czołga, potem jest bałwanem,
A gdy się już oswoi z tym haniebnym stanem,
Gdy w tem jarzmie przebędzie czas podlej pokory,
Pycha daje mu skrzydła i cętki w kolory.
Lecz niekontent z tych darów i wszystko mu brzydnie,
Skoro wspomni, jak nabył tych ozdób ohydnie.
Wlecze życie nikczemne wśród nudów, tęsknoty
Nie zna powabu pracy, ani wdzięku cnoty.»
Słyszac to mrówka młoda, pokręciła główką
I rzekła: «Dzięki Bogu, że ja jestem mrówką.»

Chciej, a będziesz szczęśliwym

Motylek z kwiatka na kwiatek ulata.
I sam ma postać kwiatu;
Kąpie się w świetle, chłodną rosę pije,
I mówi sam do siebie: nie rozkosznież żyję?
Czym nie szczęśliwy, bogaty?
Wszystkie dla mnie rosną kwiaty.

Chrząszcz w wieczornym pływa chłodzie,
Buja sobie po ogrodzie
I na róży ściele łożo. —
Cóż? czym nie szczęśliwy może?
Czyż rozkoszą się nie poję?
Drzewo, kwiatki, wszystko moje.

Komarek, wśród kwiatów woni,
Wieczorem za braćmi goni,
A rozkoszny i szczęśliwy
Przepływa gajki, niwy,
I brzęczy sobie wesoło:
Wszystko moje naokoło!

Przypatrz-że się temu dziecię!
Jak rozkoszne Bóg dał życie.
Trzódka w polu, rybki w wodzie,
Ptaszki w lesie i w ogrodzie,
Wszystko woła: dziecię tkliwe!
Chciej tylko, będziesz szczęśliwe.

Helenka

Helenka rozkoszne dziecię.
Wesoło pędziła życie.
Zabawa z zabawy, uciecha z uciechy:
Same skoki, żarty, śmiechy.
Nikt się na Helcię nie gniewa,
Każdy myśl Helci zgadywa;
Helcia jak w niebie szczęśliwa.
Nadeszła kolej niedoli.
Helenka mimo swej woli,
Obraża tatkę nieboga,
W serduszku powstaje trwoga.
Na czole widać już zmianę
Łezki, jej dotąd nieznanę,
Po licach płyną;
Już po twem szczęściu dziecińco!
Lecz znowu błysnie pogoda,
Bóg siły Helence doda,
Będzie tak dobra! tak miła:
Będzie rodziców cieszyła.
Ale pomnij, że człowieka
Wiele cierpień w życiu czeka.

Złe tu z dobrem przeplatane,
Znoś wszystko dziecię kochane!

Zegarki

Pewien jegomość miał zegarek złoty,
Perłami wysadzany i pięknej roboty;
Lecz niedawno go dostał, nie znał jego cnoty.
Chciałby się więc dowiedzieć. Na miasto wychodzi.
Otóż i zegar w oknie. — Czy mnie wzrok zawodzi,
U mnie dopiero druga, tu już pół do trzeciej!
Eh, nie, to być nie może, jak szalony leci!
Tak mówił i szedł dalej. Patrzy drugiej nie ma. —
Nie — rzecze — i ten próby z moim nie wytrzyma,
Bo druga już być musi... Cóż znowu za żarty?
Na pobliskim zegarze widzi pół do czwartej.
Nie wierzy, idzie dalej. Źle idą zegary,
Ten się spóźnia, bo nowy, ten spieszy, bo stary.
 Aż niespodzianie w uboczy
 Znowu w oknie zegar zoczy.
Ten go dopiero z błędu wyprowadza:
Otóż to jest najlepszy; bo się z moim zgadza.
 Mówiąc szczerze, między nami,
 Czy tak nie sądzimy sami?
Kto grzeczny, światły i w cnoty ozdobny?
 Ten, co do nas jest podobny.

Oleś

Mały Oleś wszedł do sali,
Tam gdzie goście w karty grali,
Jeden z nich porwał chłopczyka,
I przysadził do stolika.
«Próbuj szczęścia, masz pieniądze»
Wzmagają się w chłopcu żądze;
A na odgłos srebra dźwięku,
Drżą mu wszystkie karty w ręku.
Jeden i drugi pomaga dziecinie,
Pieniądz płynie;
Karta szczęśliwa,
Wygrywa a wygrywa.
Gdy się już wiele pieniędzy zebrało,
Chce wstać. «Nie, braciszku, trzeba siedzieć dalej!»
Wszyscy wołali.
Rad nierad musiał, choć mu się spać chciało.
Nie wyszło chwili,
Co do grosza go zniszczyli.
Zaledwie mu pieniążki błysły przed oczyma;
Żal się tylko pozostał: że były, a niema.

Kochane dzieci! ważna ztąd nauka:
Niech w ślepym losie nikt szczęścia nie szuka,

Pracujmy na chleb w krwawym czoła pocie.
Lepszy grosz pewny, niż niepewne krocie.

Marynia

Marynia raz dostała wstążkę od babuni,
Wstążką wielkim skarbem u niej,
Z radości się nie posiada.
To ją rozwinie, to ją znowu składa,
To ją włoży na głowę, to do boku przypnie,
To z niej nowy użytek wymyśli dowcipnie;
Słowem, wstążka wszystkim u niej;
A zwłaszcza, że od babuni.
Lecz kto cnotę wyssał z mlekiem,
Kto ma nią zajaśnieć z wiekiem,
W czyjem sercu szlachetnych uczuć ogień tleje,
Ten już w dzieciństwie, piękne rokuje nadzieje,
I któżby się spodziewał, że Marynia mała,
Coby za skarby świata wstążki nie oddała,
Jedynie jakimś tkliwym uczuciem przejęta,
W darze między służące rozdzieli dziewczęta?
A jednakże tak się stało,
Bo z Maryni coś kiedyś dobrego być miało.

Orzeł i żółw

Wynieś mię w powietrzne szlaki,
Raz do orła żółw powiedział,
Prawdziwie, aż zazdroścę, jak latają ptaki;
Raz już z ziemią zrobię przedział.»
«Ale, mój bracie — orzeł mu odpowie,
Co też u ciebie w głowie?
Ty chciabyś się z ptactwem bratać?
Chodzić nie umiesz, a chciałbyś już latać.»
Nadaremne napomnienia,
Nic chęci żółwia nie zmienia.
Więc go orzeł bierze w szpony,
Już w powietrzu zawieszony;
Coraz wyżej się z nim wzbija,
Już obłoki nawet mija,
I tak wyniósł go wysoko,
Że nie dojrzy ludzkie oko.
Żółw się cieszy z tej podróży,
Chciałby jeszcze bujać dłużej;
Ale orzeł puszcza nagle,
Zniknęły powietrzne żagle,
I tak to zwierzę zuchwałe
Ginie rozbite o skałę.

Wojnickie kukielki

Wojnickie kukielki oddawna już slyną;
Pamiętam, gdym jeszcze był małą dzieciną,
Wojnickie kukielki, przysmaczek dla dzieciak,
Na boku esiki, a na środku kwiatek,
Ten kwiatek był z ciasta zrobiony misternie;
Ja sam te strudelki lubilem niezmiernie.
Raz takich kukielek dwanaście kupiono.
I nim je schowano, na stole złożono;
A Henryś porywa esiki i kwiatki,
I jakby niewinny, w pokoju siadł matki.
Już zacząć miał ucztę, zdobyczy dobywa,
Wtem jakiś głos silny z serca się odzywa:
„Źleś zrobił, sam wyznaj.” I poszedł do matki,
I złożył nietknięte esiki i kwiatki.

Ignas

Ignas dostał od ojca w darze, karty stare;
Nie wie, jak tę wspaniałą ocenić ofiarę.
Szczęśliwy, stawia pałac, i zniecierpliwiony,
W jednymby oka mgnieniu chciał mieć gmach wzniesiony.
Stanęła już budowa. Rozkosz go przenika,
Wtem ktoś, przez nieostrożność dotknął się stolika,
To wstrząśnienie, choć lekkie, cały gmach wyrwaca,
Runął — a z nim mozolna Ignasiowa praca.
Łatwo sobie wystawić żal tego dziecięcia,
Ale to nie zachwiało jego przedsięwzięcia.
Na nowo wznosi pałac tamtemu podobny,
Zwyciężyła wytrwałość: staje gmach ozdobny.
Co tu było uciechy, rozkoszy, klaskania!
Troskliwie od wstrząśnienia swój stolik zasłania,
Stoi w silnych posadach pałac niezachwiany.
Ale Ignas nie kontent, pragnie znowu zmiany;
Już mu spowszedniał stary, chciałby widzieć nowy,
I pyszne dobrowolnie obala budowy.
 Uwielbiamy zarząd Boski,
 Nie mruczmy na los niestały;
 Gdyby nie bojaźń i troski,
 Rozkoszeby spowszedniały.

Kościółek

Samotnie stał kościółek skromny i ubogi.
Okna poprzepalane, wydeptane progi,
Dach miejscami zapadły, mchem okryty cały,
Ściany, jak ogorzałe, zdaleka czerniały.
Ale skoro wszedł wewnątrz tej świątyni pana,
Niepojęta w twym sercu nastąpiła zmiana,

Przyszedłeś z chmurnym czołem, wyszedłeś z wesołem;
Nie jakobyś człowiekiem, ale był aniołem.
Nikła wszelka uraza do ludzi na ziemi,
Serce się przepępniało czuciami świętymi,
Cnota wdziękiem jaśniała, miłość własna brzydła,
Kaźda rozkosz zmysłowa była bańką z mydła.
Tym kościołkiem jest każde samotne ustronie.
Kiedy serce pobożnym uczuciem zapłonie
Można w domu zapadłym, pod ubogą strzechą
Napawać się tem szczęściem, karmić tą pociechą.
I gdzie jej szukać? niedaleka droga:
Wszędzie możecie westchnąć do Boga,
A on te cuda uczyni
Tak w lichym domku, jak i w wspaniałej świątyni.

Kotek, piesek, myszka i ptaszek

Kotek z ostrymi pazury
Piesek sprzecznej z nim natury,
Lękliwa myszka i ptaszek nieśmiały.
Razem się z sobą chowały.
Prześliczna zgoda była między niemi:
Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi,
A myszka sobie wesoło
Biegała wokoło;
Ptaszek w górę podlatywał
I swobodnie wyśpiewywał.
Nawet kiedy jeść im dano
Poróżnienia nie widziano.
Rzadka w świecie zgoda taka:
Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka.
Powiecie że to bajka? mylne wasze zdanie,
Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.
Pamiętajcież dzieci o tem:
Kiedy pies się zgodził z kotem,
Jakże to będzie nieładnie,
Skoro niezgoda między was się wkradnie.

Lis przy zgonie

Lis stary już był bliskim ostatecznej chwili,
Wszyscy go przyjaciele wierni odstąpili,
Okropność tylko śmierci przed oczyma stała;
Paszczka drżąca, bezbronna już smak postradała,
Oczy, co niegdyś bystro zdobyczą wyśledzały,
W ślup mu stawały.
Widząc, iż się już wkrótce z tym światem rozstanie,
Ród luby na ostatnie zwołał pożegnanie,
I kiedy iskra życia dogorywa,
Tak się odzywa:
«Jużeście nadto długo w zbrodniach wiek trawili,

Słuchajcie rady ojca w tej stanowczej chwili.
Teraz, teraz on czuje ciężar przewinienia,
Teraz to go dopiero dręczy głos sumienia.
Patrzcie, zduszone gęsi — które chciwie żarłem,
Stawają mi przed oczy z krwią zbroczonem gardłem,
Oto indyk... czegoż chce ta mara nadęta?
Tu kwoka się o swoje domaga pisklęta!»

Łakome dzieci wokoło spojrzały,
«Ach ojcze, wrzasną, gdzie te specjały?
Gdzież te gąski wyborne, gdzież ta smaczna kurka?
My nigdzie nie widzimy i jednego piórka!
Może to tylko mary wyobraźnia nieci,
A ślinkę łykać muszą twoje biedne dzieci.»

«Poskromcie chciwość, me pociechy lube,
Za nią to człowiek poprzysiął nam zgubę:
Tu nas chartami nagania lekkimi,
Co w rączym biegu ledwie dotkną ziemi;
Tu gończe sfory puszcza na nas w knieje,
Z ognistej paszczy zgubne gromy sieje,
Pracy, przemysłu i sił nie oszczędza;
Stawia żelaza i w sieci nas wpędza.
Zbrodnia się nigdy nie wymknie z pod kary,
Patrzcie, jak strasznie kona ojciec stary,
Przyjmcie ostatnie jego napomnienia,
Zagładźcie skazę waszego plemienia;
Bądźcie cnotliwi, wiedźcie życie prawe,
A utraconą odzyskacie sławę.»

«Dobrze to wszystko, starszy z nich odpowie,
Lecz wspomnij tylko, czem byli przodkowie?
Jeden w drugiego był łotrem nielada,
A ich niesława i na wnuków spada.
Choćbyśmy żyli jak niewinne jagnie,
Człowiek, co zawsze potępiać nas pragnie,
Ilekoć w kojcu zje mu co kurczęta,
Na nas to biedne spędzi niebożęta.»

Lis przerwał: «Te wymówki rozkosz cnoty niszczy.
Ale co słyszę... pono kurczę piszczy?
Biegnijcie dzieci... tylko jedzcie skromnie,
I z resztką jeszcze powracajcie do mnie.»

Staruszek przy pracy

Śnieg zasypał ulicę, a człowiek ubogi
Zmiał go z drogi:
A był to człowiek obarczony wiekiem,
Przechodzień się litując nad biednym człowiekiem,
„Żał mi cię, rzeczce, to praca niemała.”

STARUSZEK

Ręka Boska ją zesłała.
Na to nas Pan Bóg stworzył, byśmy pracowali.

I zmiatał sobie śnieg dalej.

Pokoik Zosi

Człowiek tak mało w życiu potrzebuje!
Kiedy głód zaspokoi, wynurzy co czuje,
Gdy skromne ma odzienie, przytułek chędogi;
Dosyć dla niego, już on nie ubogi.
Zosia to wszystko miała,
Ale nie zawsze na tem przestawała:
Chleb ją kłuł w ząbki, bo niedosyć biały,
Chociaż go kilka razy pytelki owiały;
Sukienka mocna i zgrabna
Już nic nie warta, jeśli nie jedwabna;
Pokoik wybielony, z umytą podłogą,
Miał postać za ubogą.
I kiedy raz nad takim płacze pokoikiem,
Zajeżdża wuj dobrodziej, co był kanonikiem:
Przed niego się więc cała sprawa wytoczyła.
«Otrzyj łzy — rzekł łagodnie — nie płacz Zosiu miła,
Wierz mi, lubo dziecinko! to szczęścia nie daje:
Ten szczęśliwy prawdziwie, co na swem przestaje.
Przyjmuj z wdzięcznością, co masz z Boskiej ręki,
Lepsze czy gorsze, równe złóż mu dzięki,
Życie nasze podróżą, Zosinko kochana!
A ta izdebka na popas ci dana.
Bądź jej rada, i lepszej nie zazdrość nikomu,
A Bóg cię za to mile powita w swym domu,
I nie spyta się ciebie: jakieś miała sprzęty,
Ale czyś wiodła żywot pożyteczny, święty.

Kotek lizus

Póki były w spiżarni sadło i słonina,
Lizał się panu kocina:
Oczki przymilał, na ramieniu siadał,
A słoninkę pomału jak zjadał, tak zjadał.
Pan się nawet z nim dzielił własnymi potrawy;
Jednem słowem, kochał go i był nań łaskawy.
Brał go nawet częstokroć do swojej pościeli;
Przytem mu jeszcze więcej zjednał przyjacieli,
Którzy kochając pana, kochali i kota
Ale cóż robi niecnota?
Gdy go już zapach nie dochodzi szperki,
Gdy się zjadły z komory gomółki i serki,
Kiedy już wychodziła z szafki leguminka,
Inaksza u kotka minka.
Pieszczotną zmienił naturę,
Wzniósł ogon w górę.
Zgasła zmyślona pokora,
Słowem inny niż był wczora.
Ba nawet gdy teraz spotka
Pana kotek, a pan kotka,
Kot niby pana nie widzi.
Pono on się tego wstydzi,

Że mu lizał łapki,
Gdy zjadał ochłapki;
A dziś z miną hardą
Nagradza je wzgardą.

Ale to jeszcze mniejsza, jeszcze niedziwota,
Tak brzydkiej niewdzięczności doświadczać od kota,
Lecz człowiek, wyższy nad zwierzę,
A tak rzekłszy prawdę szczerze,
Częściej czyni coś dla czego, —
Któż w świecie nie doznał tego?

Krawiec

Z mą igielką, nożycami, przejdę wszystkie kraje,
Bo tym, co pracować lubią, każdy chleba daje.
Umiem dobrze sukno krajać i umiem brać miarę;
Umiem nowe robić suknie i naprawiać stare;
Gdy od kroju co zostanie, zwracam jak należy:
Miłoś to pomyśleć sobie, że nam każdy wierzy
Kto rzetelny, sprawiedliwy, ma zawsze robotę:
W jakimkolwiek będziem stanie, to kochajmy cnotę.

Ślimaczek

Powiedz mi co ślimaczku, ja ciebie zrozumieć,
Ja się waszych języków uczyć całe życie,
Myśli nawet zgadnąć umiem,
A wy o tem nic nie wiecie!”
Wyszedł z skorupki, pokazał różki,
Pomyślał troszki,
I tak swą powieść zaczyna:
„Oto mi się przypomina,
Żem raz na moją ciasną narzekał chałupkę,
Wtem nieba w pałac zmieniają skorupkę,
A ja z robaka człowiekiem zostałem,
I w tym pałacu mieszkałem.
Ha! pomyślałem sobie, otóż to mi życie!
Lecz przy szczęściu cierpiałem, co i wy cierpicie,
Choroby, żale, tęsknoty;
Ledwie nie umarł z bólów i zgryzoty.
Bardzo się życiem nadręczył takim,
A wtem się budzę i znowum ślimakiem!”
Nie umiałeś robaczku, żyć w naszym żywiole,
W najslodszych czuciach widziałeś niedole,
Trzeba było żyć dłużej, cierpieć się nauczyć,
A nie miałeś przyczyny na los ludzki mruczeć.
Nikogo Bóg nie stworzył na same cierpienia,
Często nasza niebacznosc dobre w zle zamienia.

Pszczola i osa

„Dzień dobry, siostró kochana!”
Tak raz osa do pszczoły przemówiła z rana,
Gdy się przypadkiem
Spotkały nad kwiatkiem,
Nie bardzo to pszczołeczkę po sercu pogłaska. —
„Zkądże ta łaska?
Ty moja siostra? od jakiejś to chwili,
Bogowie nas spokrewnili?”
Na to jej osa rzecz rozgniewana:
„Moja kochana!
Czyliż mało masz dowodu,
Żem z tobą jednego rodu?
Jedną ma postać i osa i pszczoła,
Jedne nas żywią i kwiaty i zioła,
Prace jednakie,
I skrzydła takie,
A gdy dalej poszperamy,
I żądła podobne mamy.
Na to rozsądna pszczołka odpowie jej śmiało:
„Wiele jest podobieństwa i różnicy wiele:
Lecz skoro wszystko weźmiemy na szalę,
Inna w nas natura wcale.
Nie chce się sama chwalić, posłuchaj człowieka,
On mnie uwielbia, na ciebie narzeka.
Jednaką broń posiadamy.
Ale jak jej używamy?
Ty w niewinnem topisz łonie,
Ja tylko własności bronię.”

Chart i osioł

Czyli z potrzeby, czy żartem,
Wyszli w podróż osioł z chartem.
Podobno na wyścigi, więc żartem powiecie,
A co się dalej stanie, łatwo przewidzicie;
Jednak nie życzę rzecz sądzić zdaleka:
Niech każdy trochę poczeka.
Chart pędził cwałem, osioł krok za krokiem,
Osioł szedł prosto, chart w tył, naprzód, bokiem;
I okrążył wokoło i pędził jak strzała,
Ale się przez to droga nie zmniejszała,
Daleko było do celu!

CHART

O! śmiech mię bierze z ciebie przyjacielu
Chybaś się założył żartem;
Gdzie biedz tobie, osle z chartem!
Idźmy dalej — osioł rzecz —
Żeś bystrzejszy, ja nie przeczę,
Ale koniec wieńczy dzieło.
Zkądże ci się, bracie, wzięło

Przed czasem trąbić wygraną?
Czyje nogi wprzód ustaną,
Nim dobiegniemy do celu,
Ten przegrywa, przyjacielu!
«A dobrze» — chart odpowie — znowu biegnie cwałem
I myśli sobie: «wygrałem!»
Wbiega na góry, skacze przez rowy,
Na wszystkie sztuczne obroty gotowy:
A osioł noga za nogą,
Jednakowo idzie drogą.
Lecz jakż koniec? zgadnąć nie możecie?
Osioł zawsze osłem, a chart chartem przecie.
Chart musiał dobieść do mety —
A jednak osioł dobiegł niestety!
O! to być nie może. — A tak jednak było:
Psisko się strasznie zmęczyło,
Padło na ziemię, robiło bokami;
Pojmiecie łatwo sami,
Że osioł tymczasem mógł kroku przyspieszyć,
Bo pragnął się tak świetnem zwycięstwem pocieszyć.
Jakoż sztuka się udała,
Meta się pokazała, —
«Leż — zawołał na charta — leż, leż przyjacielu!
Ja stanąłem u celu.

Waluś

Długo Waluś pieniędzy ocenić nie umiał,
Co mu dano, to przesumiał,
A chociaż nieraz pieniądź dostał mu się wielki,
Poszedł zaraz na ciastka, pierniki, karmelki.
Raz z ojcem na przechadzkę wychodzi wieczorem;
Zgięty z ciężkim na plecach idzie starzec worem.
„Kupcie piasku!” głośno krzyczy.
Nikt sobie nabyć nie życzy.
Pot starcowi płynie z czoła,
Coraz głośniejsz płaczem woła:
„Tanio sprzedam to się przyda.
Ach widzicie jaka bieda!
Ledwie dźwigam, sił nie staję,
Wszak za marną cenę daję.”
Biada nieszczęsnemu! biada!
Nikt do niego nie zagada,
W niczyjem sercu czucie się nie wzbudzi,
Jakby nie człowiek przemawiał do ludzi.
„Kupmy, rzekł Waluś, choć nam nie potrzeba;
Będzie miał biedny starzec na kawałek chleba:
Wszak on pracuje poczciwie?
Jakże się tym ludziom dziwię,
Co jakby byli bez serca, bez duszy,
Los ich bliźniego nie wzruszy!”
Kupili. Wtedy ojciec uwagę mu zwraca:
Jak na pieniądź ciężka praca,
Jakiej ceny kilka groszy,

Co zbytek w chwili rozproszy.
Odtychczas Waluś dobrze używał pieniędzy,
Wspomagał jęczących w nędzy,
I gdy miał kilka groszy wydać na łakocie,
Wspominał, jak ciężki pieniądz i co winien cnotcie.

Skąta i kropla

Jakież zamiary zuchwałe!
Ty, miękka kropło wody chcesz wydrążyć skałę?”
Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzała
Na kropelkę co spływała.
Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada,
I stałością dokazała,
Że uległa kropli skała.

Przepiórki

Pośród bujnej pszeniczki złocistego lasu,
Słodkiego przepióreczki używały wczasu,
W miękkiem gniazdeczku, ocienionem wkolo,
Żyły spokojnie, wesoło.
Mateczka je dzień cały same zostawiała,
W wieczór dopiero wracała.
Byłóż pisku co niemiara,
Gdy do dzieci przepiórka zbliżała się stara.
Jednego razu wołają ze łzami:
„Mateczko! mateczko! ach źle będzie z nami!”

PIERWSZA

Pan tego pola siedł z synem, drzę cała,
I mówił: „Czas do żniw, pszeniczka dojrzała.
Mateczko! mateczko! co się z nami stanie?
Trzeba sobie zawczasu obierać mieszkanie.

DRUGA

Tak, tak, doprawdy i jam to słyszała,
Jakżem też niecierpliwie mateczki czekała!
Myślałam, że już trzeba zaraz się wynosić;
Sąsiadów kazał jutro do żniwa zaprosić. —
„Kiedy tak, rzecze matka, nie bójcie się dzieci!
Żaden mu na wyskoki sąsiad nie poleci.”
I odleciała znowu... Wieczorem przybywa,
Znowu z żalami gawiedź wyjeżdża piskliwa:
„Mateczko! strach okropny, już zgubyśmy pewni,
Już na jutro do żniwa, zaproszeni krewni.
O! słyszeliśmy dobrze, jak mówił do syna.
Niech nas mateczka prędko przenosić zaczyna.”
„Nie bójcie się dziateczki, matka odpowiada,
Taką pomoc mieć będzie, jak i od sąsiada.

Spijcie sobie spokojnie, a co usłyszycie,
To mi powiecie.”

I odleciała znowu... Wieczorem przybywa,
A dziatwa się do Matki ze łzami odzywa:
„Czy jeszcze się nie lękać! znów mówił do syna:
O! już się ziarno z kłosa okruszać zaczyna,
Zawiedli nas sąsiedzi, zawiedli nas krewni,
Gdy się sami zabierzem, będzie pono pewniej.
Jutro zaledwie słońce wyjdzie tylko z nieba,
Zaraz, zaraz do sierpów zabierać się trzeba.”

STARA PRZEPIÓRKA

Już teraz niema żartów, trzeba się wynosić.
Póki tam kogoś kazał do pomocy prosić,
Żyłyśmy tu bezpiecznie; dziś już niema rady.
*Kto się spuszcza na krewnych, albo na sąsiady,
Buduje na powietrzu. Kto ufny sam sobie,
Powie: „Tak, dziś być musi bo ja to sam zrobię.”
Niezawodnie dokona: Wynośmy się dzieci!
Ujrzymy tu żniwiarzy, gdy słońce zaświeci.
Tak się stało, przepiórki odleciały dalej,
Ojciec z synem szczęśliwie pszeniczkę zebrali.*

Krople rosy

«Biedne te rosy kropelki,
Co przez upał słońca wielki
Z pięknych kwiatów poznikaly!
Jak one pięknie jaśniały,
Kiedy księżyc patrzył na nie!»
Takie małej dzieciny było narzekanie.
«Widzisz, synu — rzekł ojciec — tę tęczę na niebie?
Tam jaśnieją krople rosy,
Wzniesione w górne niebiosy:
Taki los czeka i ciebie.
Pomnij, że schodząc ze znikomej ziemi,
W niebie się z istotami połączysz wyższemi;
Ale chcąc trafić do nieba,
Na ziemi być dobrym trzeba.»

Osiół i chłopczyk

Szedł osioł utrudzony i stąpał powoli,
Tyle obelg! o Boże! jakże serce boli: —
A w tem wybiega chłopczyk, wskazał kłapoucha:
«Hej widzieliście leniucha!»

OSIOŁ

Niegrzecznyś! mówią wprawdzie, że jestem leniwy,
Ależ ty bądź sprawiedliwy,

Pomnij: krzywdzić się nie godzi.
Prawda, że osioł zbyt szybko nie chodzi;
Ale idzie z powagą, powoli zostrożna,
I żadnych mu wybryków zarzucić nie można.
Ta powolność jest z zasad — nie z lenistwa wcale:
Kto nosi po urwiskach, kto się pnie po skale?
Jednak sami przyznacie: czy zrzuciłem kogo?
Tego mi i niechętni zarzucić nie mogą.
Że się tam trochę spóźnię, o! to nic nie szkodzi?
Czy przyjdę dziś, czy jutro, to się to nagrodzi;
Wszak lepiej przybyć później, a mieć całe kości?
Nikt jeszcze nie żałował swojej powolności,
A pośpiech i narowy przyplacano drogo.
Że się też poznać ludzie na osłach nie mogą!
Wierzcie mi, nie godzi się ujmować nam sławy. —

«To prawda — rzecz chłopczyk — dobrze bronisz sprawy,
Kiedy kogo sądzymy, na bok uprzedzenie:
Istotnie! osioł, widzę, nie głupie stworzenie.»

Pszczółka i mrówka

Pszczółka mrówkę odwiedziła,
Bo w blizkiem sąsiedztwie żyła.
Mrówka uprzejma dla gości,
Prosiła siedzieć jejmości:
Zaczęła się rozmowa.

MRÓWKA

Jakże się jejmość miewa?

PSZCZÓŁKA

Bardzom zdrowa;
A jejmość? — mrówka na to: «ja mam w piersiach bole,
Czasem i w boku zakole;»

PSZCZÓŁKA

Co zaś znowu? bo jejmość zawsze w domu siedzi,
I sąsiadów nie odwiedzi,
A znalazłby się u nas na lekarstwo miodek,
Na piersiowe słabości to najlepszy środek.
Wszakżeś musiała słyszeć, co to umie pszczółka,
Ona zna wszystkie ziółka,
Najlepsze wyciągi soki,
Przerabia je na wyskoki;²
Umie różne mieszać płyny,
Łączy z różą rozmaryny;
Wszystko zręcznie przysposobi,
Aż się z tego miodek robi.
O! mój miodek bardzo słynie! —
Mrówka znudzona — tok odwraca mowy
Na przedmiot nowy:

²Ekstrakt, czyli wyciąg najmocniejszy z roślin. [przypis autorski]

«Jakto nam czas płynie!
Niedawno była zima, już nadeszło lato.»
A pszczołka na to:
«Tak, to prawda, słyszałem skarżyły się muchy
Na rok suchy.
Ja się o to nie troszczę, mam dostatek miodu,
Kto tak jak ja pracuję, nie lęka się głodu.
Co to przytem za miodek! jak słodki! jak czysty!
Gdyby kryształ przezroczysty.
Tak, tak, wszystkie się na to zgadzają odgłosy.
Robią miód wprawdzie szerszenie i osy,
Ale gdzie tam do mego, jak niebo do ziemi!
Któżby mnie nawet porównywał z niemi.»

MRÓWKA

Już mię nudzisz waćpani, aż mnie biorą mdłości.

PSZCZÓŁKA

I to dokuczają jejmości?
Ja mam dobre lekarstwo: miód z woskiem zmieszany
Zrobi skutek pożądany.
Przetopić razem, i w ciepłe zachować,
Potem cienko rozsmarować,
I ten plasterek na sercu przyklepić;
Niewiele jeść i nic nie pić,
Tylko lekki kleik z miodem.

MRÓWKA

O waćpanibyś wszystkich zamorzyła głodem,
Już nic niema na świecie, tylko miód waćpani.
Brzydtko, kto się sam chwali, a każdego gani.

Wilk w baraniej skórze

„Brałem otwarcie co się udało,
Dziś mi się zręcznej sztuki zachciało,
Mam skórę z owcy, w nią się ustroję,
Wtedy co ujrzę to moje.
Prawda, to figiel nielada!”
Tak wystrojony z lasu wypada;
Ale patrzcie co się stało?
Stado wilków kolegi swego nie poznało.
Wpadają tak jak na barana,
Co schwyci który zębami, to rana. —
„Zmiłujcie się co robicie?
„Koledze wydrzecie życie!”
Nikt jęków jego nie słucha.

WILKI

Kolega nie ma kożucha.

Kwoka i kogucik

Kwoka jedynie losem swych dzieci zajęta,
Wodziła po podwórzu wylęgłe kurczęta,
A znalazłszy robaczka lub ziarnko na ziemi,
Sobie od ust odjąwszy, dzieliła się z niemi.
Jedno ze żwawych, lekkomyślne, płocze,
Siły skrzydełek chcąc doświadczyć trochę,
Porzuciwszy inne dzieci,
Nad cembrzynę studni leci;
Wpada w wodę, swawoli doświadczywszy skutku,
A biedną matkę w wiecznym pozostawia smutku.
Wkrótce kogucik zuchwał,
Co już wcale nie był mały,
Podlatywał sobie śmiało,
To niedawne nieszczęście matce przypomniało.
«Synu! rzecze z uczuciem, ach synu mój drogi!
Jużby się wiek twój obszedł bez mojej przestrogi,
Ale i cóż dziwnego, że matka troskliwa!
Wiem, że ci na odwadze i męstwie nie zbywa,
W walkach się wcale o ciebie nie boję,
Lecz omijaj tę studnię, lube dziecię moje;
To miejsce jest pamiętne zgubą twego brata,
Przez swoją lekkomyślność marnie zeszedł z świata».
Podziękował kogucik za zbawienną radę;
Lecz mając jeszcze w sobie zwykłą młodych wadę,
Niechętnie się do niej skłania.
Pełno było przyrzekania,
Ale to wszystko nieszczerze.
Niezmierna go chętka bierze
Do tej nieszczęsnej przybliżyć się studni.
Czem się dalej posunie, tem się wstrzymać trudniej;
Nareszcie rzecze: «Cóż to? czyż ja jeszcze dziecię?
Będę się zniewieściale obawiał o życie?
Ja co się męstwem i odwagą szczycę,
Będę na słowa uważał kobiece?
Może to matka wyrzekła jedynie,
Nieulękłości chcąc doświadczyć w synie,
Albo też bardziej o młodszych troskliwa,
Przedemną ziarno w tej studni ukrywa.
Nie, nie, nic z tego, gardzę jej przestroga.»
Coraz dalej zuchwałą postępuje nogą,
Stanął na samym brzegu, spuszcza na dół głowę,
Patrzy... alic na spodzie widowisko nowe:
Kogut jemu podobny, tak jak on zuchwał,
Jak on wyciąga szyję, nastrzępia się cały.
Zagraża mu nasz młodzik; tamten niezłękniiony,
Groźbą za groźbę z swojej odpowiada strony.
Tu już zacięty kogut ledwie sobą włada,
I chcąc tamtego zgnębić, sam w wodę upada;
Tonąc zawołał z zalem: «Patrzcie lube dziatki,
Jak to źle nie słuchać matki.»

Pobożność

Był to pustelnik, od dawnego czasu
Mieszkał samotnie w głębi ogromnego lasu,
Małą kapliczkę wykuił sobie w skale,
Ku Boskiej chwale.
Zaledwie zajaśniał dzionek,
Już brzmiał głośno jego dzwonek
Na wieżycze zawieszony
A te wdzięczne jego tony
Odbijały się o drzewa.
Kłęka starzec, ręce wznosi,
Drżącym głosem piosnkę śpiewa,
Szczęśliwość cnoty, chwałę Boga głosi.
Potem idzie do ogrodu,
I w czoła pracuje pocie,
Myśli zawsze przy Bogu, ręce przy robocie.
Aż o południu odpoczął wśród chłodu,
W altance ubogiej dar Boży pożywa.
Surowe owoce, z ogrodu warzywa,
I czysta z krynicy woda.
Choć ubogi, on nieraz rękę poda,
Niejednemu pomoc niesie,
Co się w tym zabłąkał lesie.
Dzwonek mu go tam sprowadził,
On go przyjął uprzejmie, na darni posadził,
Uczęstował, pocieszył;
A podróżny odpoczął i dalej pośpieszył.
Pocziwy starzec, jak witał blask słońca,
Z sercem wesołym czekał i dnia końca:
Znowu się dzwonek odezwał z wieżyczki,
Znowu się starzec udał do kapliczki,
Ze świętą skruchą odmawiał pacierze.
Powiedźcie mi dzieci szczerze,
Czy wy myślicie,
Że tak tylko możecie wieść pobożne życie?
O! błędne wasze mniemanie,
W każdym wieku, w każdym stanie,
Otwarte do tego wrota;
Lecz pierwszym warunkiem: cnota,
Przy cnocie modlitwa, co z serca wypływa,
Bez cnoty, Bóg mówi i wiara nieżywa.
Pobożnemi być mogą i maleńkie dziatki,
Niech słuchają ojca, matki,
Staruszków, nauczycieli;
Niech się każde, czem ma dzieli,
O Bogu zawsze pamięta,
Dobrem bliźnich niech będzie myśl jego zajęta;
Niech z wszystkimi w zgodzie żyje,
A czy je chleb, wodę pije,
Niechaj Bogu niesie dzięki.
Bo to wszystko z jego ręki.
Gdy nieszczęście go dotyka,
Niech nie szemrze, nie narzeka,

Niech się zgadza z wolą pana:
Ta pobożność pożądana!

Rzetelnicki

Nieraz o tym człowieku, dzieci, usłyszycie,
Co nie skłamał całe życie.
Powiem wam jak się to stało,
A za prawdę rękę śmiało.
Kiedy jeszcze był dziecięciem
Uzbroił się przedsięwzięciem,
By kłamstwo ust nie splamiło,
Z początku mu trudno było;
Lecz choć często chętką brała,
By się jaka rzecz skłamała,
Uczuł w sobie żądzę chwały,
Usta prawdę powiedziały.
A choć czasem i złe zbroił,
Że największe błędy, wady,
Wyznał szczerze, bez przesady.
Coraz bardziej wzrastał w cnoty;
Każdy mu chętnie ufał, uwielbiał przymioty.
Żył szczęśliwy i kochany;
Umarł, a jednak słodko wspominany.
Brzmi jego imię w okolicy całej,
Bo rzetelnością zyskał piękny wieniec chwały.
Dzieci! idźcie jego śladem,
Niech serce wasze będzie prawych uczuć składem,
Niech was wdzięk kłamstwa nie mami,
A szczerłość włada ustami,

Dzieci i paw

DZIECI

Jakież ty masz pawiu piękności od Boga:
Jaki ogon pyszny, jaka szyja droga,
Złoto ze szmaragdy w piersiach się odbija,
O! to coś cudnego taka śliczna szyja.
Kiedyś taki piękny, głos twój cuda sprawi:
On ciebie zapewne w całym świecie wślawi.
Co to tam być musi wdzięku i słodczy! —

DZIECI

Daj pokój, już dosyć, dosyć tej pięknoty:
To nie jest śpiew ptaka, o! tak wrzeszczą koty.
Do tych pięknych piórek ten głos nie przystoi.

PAW

Bądźcie sprawiedliwi; wszak, panowie moi,
U nas tak, jak u was podział nie jednaki:
Jedne są uczone, drugie piękne ptaki,

Te głosem celują, te wdzięczną postawą:
Trudno wszystkim jednaką okrywać się sławą.
Miejcież wzgląd panicze i wyrozumienie,
Jeżli wam się moje nie podoba pienie.

Sen

Śniło się ubogiemu, że miał złota skrzynię.
Skarbem zajęty jedynie,
Zapomniał, że był biednym, wie tylko, że panem,
Nie wspomaga potrzebnych, niższym gardzi stanem.
Właśnie miał wsiąść w karetę, a wtem go ktoś budzi,
Jakże często na jawie spotyka to ludzi!

Rybak

Na kępie pod Dzikowem³ blisko Miechocina⁴
Uboga żyła rodzina,
Ojciec, matka, dziadek trzeci,
I kilkoro jeszcze dzieci:
Siatka, węcierz, wędka mała,
Oto ich nadzieja cała.
Nie było tam na stole smacznej leguminki,
Ani poleweczki z wina;
Na suchym chlebie przestają dziecinki,
I cała biedna rodzina.
Jeżli się rybka zловиła,
Zanieśli ją do Dzikowa.
I tylko się sól kupiła,
Czasem bułeczka pytłowa.
Raz przypadkiem dużego złowili szczupaka:
Radość w chałupie rybaka.
«Będzie mąka, będzie kasza,
Z mąki kluseczki, pociecha nasza!»
Wołały dzieci, klaskając w dłonie;
Gdy młody syn dziedzica nadszedł w to ustronie.
«W głowach im się burzy chyba,
Tak ich cieszy jedna ryba.
U nas tyle się minie sumów i lososi,
A nikt się nie unosi.»
Tak rzekł młodzian, a sługa odpowiada stary:
«Panie! poznaj niedolę i złóż jej ofiary.
Co u was zbytkiem, tu pierwsza potrzeba,
Tu czasem nie wystarczy na kawałek chleba.
Nie kosztują tej ryby, owocu swej pracy,
Na lichym muszą przestać pokarmie biedacy.
O! przypatrz się nędzy zbliska:
Gdy ją poznasz z istoty, ale nie z nazwiska,
Serce nieraz do biednej wprowadzi cię chatki;
Dasz pomoc i pokażesz, na co są dostatki.»

³Dzików — miasteczko w Rzeszowskim w Galicji. [przypis redakcyjny]

⁴Miechocin — wioska pod dzikowem. [przypis redakcyjny]

Skutki lekkomyślności

Powiem wam bajkę, słuchajcie dziecieczki,
Lecz korzystajcie z bajeczki.
Był gaik, a w gaiku różne, różne ptaszki;
Ale je same tylko zajmowały fraszki;
Kiedy bocian poważnie opowiada dzieje,
To jedno muchy łapie, a drugie się śmieje;
Gdy jaskółka miłości bliźniego naucza;
Jedno drugiemu dokucza;
Śpiewał słowik — uwagi żadne nie zwracało.
Ale cóż się dalej stało?
Wszędzie dowody marnej czasu straty,
Tak dziś żyją w ciemnocie, jak żyły przed laty,
Wróbel myśleć nie umie, sroczka tylko skrzeczy;
Albo jeżeli zagada, to plecie od rzeczy;
Szczygieł zamiast pracować, cudzą pracę zjada,
I w sidelka za to wpada;
Czyżyk jeszcze dotychczas jak słowik nie śpiewa,
Bo pracą, usilnością, talent się nabywa.
Kończyłem... a wtem dzieci na siebie spojrzały:
Z nas to podobno, rzekły, wzięto te morały.

Szara godzina

Nadeszła szara godzinka,
Wziął ojciec za rączkę synka,
I rzecze: „Synku! w tej chwili
Będziemy sobie chodzili,
Będziemy sobie gadali,
Bo jeszcze światła nie dali.”
„O, dobrze kochany tato!
Ja bardzo kocham cię za to!”
„Widzisz mój synu kochany!
Nagle na świecie odmiany:
Niedawno słońce świeciło,
Tak widno, tak pięknie było!
Przyszędł nowy czas spoczynku,
Słońce nie świeci mój synku;
My jednak szczęśliwi oba,
Wieczorek nam się podoba;
Nauzka płynie
W szarej godzinie,
Myśl podniesiona do Boga,
Co nam słońce przyszłe zrana,
Co w ciemności i wśród słońca.
Cudem dobroci bez końca,
Śród cichości, śród ciemnoty
Pobudzamy w sercu cnoty.
O! wstrzymajcie światło jeszcze!
Niech myślami się napieszczę,
Duchem bożym natchnę syna,

Bo on myśleć już zaczyna.
Synu! synu mój jedyny!
Chciej korzystać z tej godziny.
I z człowiekiem tak się dzieje.
Gdy wiek młody — to mu dnieje,
Kiedy starszy — wieczór szary,
A noc ciemna, kiedy stary.
Korzystaj synu z młodości,
Czyń, co tylko w twojej sile!
Szczęście w domu się zagości.
Wieczorek ci spłynie mile.”

Uboga wdowa

Zbogacon łupami wojny,
Ozdobiony wieńcem chwały,
Przedsięwziął pan bogobojny
Wznieść Bóstwu kościół wspaniały.
Ledwie piękna myśl błysnęła,
Natychmiast miejsce zakreślił,
Rączy się bierze do dzieła,
Mienić w skutek co zamyslił.
Piękna praca, zewsząd do niej
Tysiące się ludzi zbiega.
Turkot wozów, tętent koni
I huk młotów się rozlega.
Jak laską zaczarowaną
Wydarte z głębi natury
Z szybkością nieporównaną,
Piętrzą się wspaniałe mury.
Ucieszon postępy temi
Nagroda bogacz zachęca,
I chlubi się przed wszystkimi,
Jak wiele Bogu poświęca.
W ustroni wdowa uboga,
Okryta odzieżą lichą,
Widząc gmach na chwałę Boga,
Łzę tylko ronila cichą.
Tylko się jej myśli wiły,
O kościele i o złocie,
Lecz w niezgodzie z chęcią siły.
Krajały serce sierocie.
Bóg, co myśli widzi skryte,
Serce nad wszystko ocenia,
Pociesza biedną kobietę,
Pobożne wieńczy pragnienia.
Spuścił na nią sen przyjemny,
Błysk odwarł niebios podwoje,
Z głębi zabrzmiał głos tajemny:
„Bóg serce przeniknął twoje.
„Chcesz woli dopełnić pana,
„I pomnożyć chwałę Bożą,
„Kup dla wołów wiązkę siana,
„Co cegłę na kościół wożą.”

Wstaje ze snu przebudzona,
Tkwi w jej myśli wola pana,
Biegnie, biegnie, ucieszona,
I kupuje wołom siana.
Znowu z nieba głos słyszano,
Aż się ziemia wstrzęsła cała:
„Milsze Bogu twoje siano,
„Niż ta świątynia wspaniała.

Słońce i księżyc

Kiedy na rozkaz wszechwładnego Słowa
Stanęła świata budowa,
Na wspaniałym przestworze dwa światła zabłyśły.
Co miały nadal kreślić wymiar czasu ścisły.
Jako dziewica w najświetniejszym stroju,
Lub jak bohater gotowy do boju,
Który na drodze sławy śmiałym staje krokiem,
I wesoło błyska okiem,
Wyszło słońce, niebiańskim blaskiem otoczone,
Niosąc wiał na skroni z wdzięcznych farb koronę.
Ziemia odgłos radości wydała dokoła,
Upiękniły się kwiaty, zawoniały zioła.
Zazdrośnie drugie światło na słońce spojrzęło.
Bo mu zrównać nie zdołało,
A dumą uniesione rzeczy jaknajśmielej:
„I dlaczegoż tron jeden dwóch monarchów dzieli?
Dlaczegoż mam być drugim, gdy pierwszym być mogę?
Któż mi do jej wielkości zatamował drogę?”
Wtem gdy ostatni wyraz z ust mu się wymyka,
Skrytym bólem strawione piękne światło znika;
Rozpłynął się w powietrzu wdzięczny blask księżycy,
I w drobnych gwiazd postaci ziemianom przyświeca.
Stanął księżyc wybladły, jak grobowe cienie,
Zawstydzony w pokorze leje łez strumienie,
I rzecze do Wszechwładcy, z łkaniem przerywanem:
„Zlituj się, Ojciec istot, nad mym nędznym stanem!”
Ten, który na pokornych miłem rzuca okiem,
Przesła mu anioła z łaskawym wyrokiem.
Błysło... a świetny poseł w powietrzu się wznosi,
I tak żalującym wolę Pana głosi:
„Ponieważ blask słoneczny zazdrość w tobie wzniecił,
Odtychczas przeciwnika będziesz blaskiem świecił,
A skoro ciemna ziemia po przed tobą stanie,
Zniknie blask pożyczany, ciemność pozostanie.
Przestań jednak gorzkimi zalewać się łzami,
Bóg tknięty twemi prośbami,
Winę przebaczył, pokorę ocenił,
I samo uchybienie w pomyślność zamienił;
A po sprawiedliwości surowej wymiarze,
Jego dobroć bez granic pocieszyć się każe:
Wyjdiesz ze swej nicości, dawny tron osiedzisz,
I świetne panowanie ze słońcem dzielić będziesz;
A łzy, które wylałeś wśród żalu, pokuty,

Zmienia się w balsam rosy po ziemi rozsutej,
Która wszystko pokrzepi dobroczynnym darem,
Cokolwiek Nielitośnym zemdli słońce skwarem.”

A gdy anioł dobroci pociechy weń leje,
Odzyskał księżyc światło, którem dziś jaśnieje;
Król nocy, otoczony gwiazdy iskrzącemi,
Zaczął spokojny obieg naokoło ziemi,
A gdy się zastanowi nad swą dawną winą,
W postaci drobnych pereł, łzy mu z oczu płyną.

Deszcz złoty

Skarżył się lud na biedę, źle mu się zdawało,
Że choć miał dosyć chleba, pieniędzy miał mało;
A niepokojąc Bóstwo prośbą natarczywą,
Uzyskał, iż go złotą skarą ulewą.
Jak grad na ziemię padały dukaty.
Z wzniosłych pałaców i ubogiej chaty,

Jaki taki zadyszany,
Leci zbierać czempredzej ów dar pożądany.
Gdyby wtenczas filozof, co zna wartość złota,
Widział, jak ta się skrętnie zwiwała hołota;
Gdyby był na to patrzył obojętnym okiem,
Byłby się najśmieszniejszym ubawił widokiem.
Ten znosi ciężki kufer, ów beczkę pękata,
Tamten nadstawia szaflik, ów urnę bogatą,
Jeden bieży z kobiercem, drugi z płachtą w rękę,
Ten się pieści połyskiem, ów powabem dźwięku.
Bogacz, co się nie schylił może całe życie,
Ową marność znikomą zgarnia pracowicie,
Od pracy nadzwyczajnej potu płyną strugi,
A łzy mu w oczach stoją, że zbiera i drugi.
Skąpiec, radby z jednego zrobić trzy dukaty,
Nie wie już, gdzie je podziać, jeszcze nie bogaty
Napchał w łataną kieszeń, ta mu się rozdziera,
Mniema, że wszystko stracił i z żalu umiera.
Widać było nędzarzy, co nie znali złota,
Zdumiewała ich postać, zdziwiała prostota;
Niejeden nie mógł pojąć jak zapamiętali
W bezprzykładnym zapale te cacka zbierali.
Widać było i takich, co z pracy rąk żyli,
Nie śmieli tknąć tych skarbów, iż nie zarobili;
Ale co jeszcze bardziej uwagę zwracało,
Że takich nawet było tam niemało,
Co wprzód ganili zbyt nie złota zbiory,
A potem sami napelniali wory.
Wszystko wtenczas ze zwykłych korbów wyboczyło,
Nikogo ni w świątyni, ni w domu nie było,
A choć niejeden dostał potężnie po głowie,
Choć niejeden utracił życie albo zdrowie,
Wszystko to było niczem, blask złota nagrodził,
Utratę nawet ojca wyrodkom osłodził.

Lecz niedługo mniemana uciecha potrwała:
Ta ulewa obficie cały kraj zalała,

A że to był kraj ludom niedostępny innym,
Nie dzielili się z nikim darem dobroczynnym.
Wkrótce jednak powoli poznali to sami,
Że nie wszystko jest dobrem, co nas wdziękiem mami.
Mieli dosyć pieniędzy, lecz gdy kupić trzeba,
Nikt nie dał za dukata i kawałka chleba.
Każdy miał dość dukatów, a jednak żył w nędzy;
Wtenczas wartość prawdziwą poznano pieniądze.
Nikt nie chciał być rolnikiem, pola zarastały,
Rękodzielnie zamknięto, młyny mleć przestały,
Praca zbrzydła każdemu, bo czuł złoto w worze,
Zdarły się dawne szaty, zjadło dawne zboże.
Niejeden z płaczem westchnął, umierając z głodu,
Że nie w złocie prawdziwa szczęśliwość narodu.

WŁADYSŁAW BEŁZA

Bajeczka wstępna

(ZAMIAST PRZEDMOWY)

Był sobie pewnego razu olbrzym, nazwiskiem *Waligóra*. Odznaczał się on nadludzką siłą i dość mu było uderzyć pięścią w skałę, aby natychmiast w proch się rozsypała.

— Eh! znamy już tę bajeczkę, znamy! — odezwały się chórem dzieci. — Opowiedz nam inną wujaszku!

— A więc dobrze, słuchajcie! Był sobie razu pewnego olbrzym, co zwał się *Wyrwi-dębem*. Siły był niesłychanej. Rozhukanego żubra chwycił za rogi i jak cielaczka kładł kornie u nóg swoich. Zamiast kosturem, podpierał się niebotyczną sosną, którą druzgotał wszystko, co spotkał na drodze. Dość mu było uchwycić stuletni dąb za rozłożystą koronę, niby za czuprynę, a wnet go wyrwał z korzeniem. Pięścią i pałką torował sobie drogę w świecie...

— Ależ i tę bajkę umiemy już na pamięć! — przerwały niechętnie dzieci.

— Zresztą, — dorzuciła najstarsza moja siostrzeniczka Anulka, — wujaszek opowiada nam zawsze takie straszne bajki, że potem przez całą noc śnią się nam same wielkoludy i rozbójniki. Opowiedz nam coś innego kochany wujaszku!

— Zgoda, ale o czym na przykład chcielibyście posłuchać?

— Na przykład... na przykład... namyślała się Anulka. — Ot, wie co wujaszek: na przykład o jakim dobrym człowieku, co to nie z tego głośny, że burzył i rozbijał, ale z tego, że...

I tu urwała.

— Z czego moje dziecko?

— Kiedy nie umiem wysłowić się jakby należało. — Z tego, co to słynął ów dobry królewicz, o którym niedawno opowiadał nam wujaszek, że po śmierci zmienił go czarnoksiężnik w błyszczące światelko, które biegło przed podróżnymi, ilekroć zabłąkali się w lesie i wyprowadzało ich na bity gościniec.

— Więc ty takich tylko bajeczek lubisz słuchać? — odparłem, gładząc płowe włoski dziewczęcia.

— Tylko takich wujaszku; bo na co mi wiedzieć o zbójcach i wielkoludach, kiedy oni tyle złego nabroili w świecie.

— Posłuchaj zatem, Anulko!

Był sobie razu pewnego, nie żaden książę ani czarownik, ale mocarz słowa, którego Bóg obdarzył niezwykłą jasnością ducha, na to, aby spełniał zadanie owego królewicza z bajki i niósł przed ludźmi pochodnię światła i nauki. Nie od razu jednak stał się on takim przewodnikiem narodu. Nim zaczął oświecać innych, pierwiej sam w ciężkim trudzie i mozole zdobywał sobie naukę; uczył się i pracował pilnie, aż gdy już dużo nagromadził

skarbów mądrości, pomyślał, że czas nią podzielić się z bliźnimi. Począł więc w przeróżnych książkach i dziełach oświecać swoich rodaków, szerzyć w ich sercach miłość do tego co swojskie, co rodzinne podnosić w ich oczach cnotę a zozydzać występki, uczyć ich, jak mają kochać się wzajem i przelewać tę miłość na wszystkie stany na wszystkie warstwy społeczeństwa.

Mężem tym był *Kraszewski*.

Przeszło 500 dzieł napisał on w ciągu długiego i pracowitego życia spędzając dni całe z piórem w rękę, z pod którego coraz to nowe wychodziły książki, budzące podziw dla jego twórczości i cześć dla niezmiordowanej pracy.

Słusznie ktoś o nim powiedział, „że gdyby literki w jego dziełach policzyć, byłoby milionów kilkanaście; gdyby pióra pozbierać, możnaby tysiącem skrzydeł do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; a gdyby wszystkie myśli na jeden zegnać rynek, byłby zgiełk, hałas na mil kilkanaście”.

— Ach! to ciekawsza historia, niż wszystkie bajki o wielkoludach! Lecz cóż się stało z tym „mocarzem słowa”, jak wujaszek nazwał pana Kraszewskiego?

— Stało się to, co z każdym z nas kiedyś stać się musi. Po długim pracowitem życiu odszedł on do lepszego świata po nagrodę, którą Bóg dobrym i zacnym ludziom zapewnił⁵. Na kilka jednak lat przed śmiercią, pragnąc i w waszych zapisać się serduszkach, zostawił dla was, drogie dzieci, pamiątkę w tej oto książeczce, którą obecnie ku waszemu użytkowi, po raz już trzeci wydajemy.

A teraz, nim przestąpiacie do odczytania tych jego ślicznych *Bajeczek* pierwiej pobożnie westchnijcie za jego duszę: niech w nagrodę za to światło, które szerzył na ziemi, świeci mu światłość wiekuista w niebie!

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Boże dary

Drogiż to, drogie te lata wasze, moje dzieci kochane, choć wam tak pilno pożegnać się z niemi choć tak wam, jak każdemu z nas, serce bije na myśl zrzucenia sukienek i wyswobodzenia, aby samym pójść na szeroki Boży świat, kosztować wszystkiego i zapoznać się ze wszystkim, na co zazdrośnie z okna rodzicielskiego domu patrzycie!

Ale gdybyście wiedzieli, jak później do siwego włosa, człowiek tęskni i żałuje tych dni, które dla was tak pomalutku się wloką; jak mu drogie te lzy nawet, które wylał będąc dzieckiem, słodsze od niejednego, późniejszego uśmiechu...

Dzieci! wy mnie może nie uwierzycie... ale tyle to szczęścia w życiu co lat młodych i dni jasných zarania!...

Z kolebki wychodzimy owiani jeszcze tchem niebieskim, pod wrażeniem snów zaświatowych i przynosim z sobą w duszy zapas na całe życie.

Pomyślcie tylko... spojrzycie w koło, jak się wam pięknie wydaje świat w blasku tego, coście z sobą z nieba przynieśli... Jak wam bije serce do wszystkiego co piękne i pocziwe, jak nie wierzycie co złe nawet!

Otóż nie spieszcie się do naszej starości i smutków; zostańcie przy waszem weselu i wierze; wasz świat jest prawdziwym światem; nasz, cieniem jego i szkieletem; my starsi, to tyleśmy tylko coś warci, o ile nam się udało ze skarbów młodości uratować cząsteczkę...

Ażeby wam przekonał, że prawdę mówię, powiem wam o tem bajeczkę... Bajka, to dla niektórych zabawka, ale jak się nad nią pomyśli na dnie jej zawsze znajdzie się ziarnko nauki.

Wiedziecie to, że niektórym świątobliwym ludziom dano jest dalej iść niż ziemia i wędrować w te kraje, do których duszom tylko iść wolno i to wybranym. Otóż był raz taki staruszek, bardzo zacny i święty, który żył we Włoszech.

Włochy, jak wiecie, są ślicznym krajem, który oblewa morze błękitne, stroją góry precudne i oceniają pomarańcze, laury i cytryny... Ów staruszek żył w jednym

⁵*Kraszewski, Józef Ignacy* — urodził się 1812, umarł 1887 roku. [przypis autorski]

z miast włoskich najpiękniejszych, we Florencji, mieście kwiatów, a przepędziwszy młodość z szablą, wiek późniejszy przy uprawie roli, gdy bardzo zaniemógł, począł pragnąć spoczynku i tak sobie postanowił, że chodzić będzie, modlić się, myśleć o Bogu i nauczać maluczkich.

Wziąwszy więc kij w rękę, — wędrował sobie od wioski do wioski, powoli. A gdzie stanął, to dzieci zgromadziwszy koło siebie, rozprawiał i opowiadał im różne ciekawe dzieje i piękne rzeczy. A że to tam ciepło i jasno i pogodnie, a kraj ludny i zamieszkanym, chodził sobie powoli i spędzał godziny bardzo wesoło, bo mu nigdy na schronieniu, posiłku i słuchaczach nie brakło. Ale bywały na niego takie dni, że jak się zamyślił, jak się zadumał, to cały dzień na spiecu nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc i kiedy mu to odeszło, jakby się z głębokiego snu przebudził.

Pytali go wówczas, co mu było? ale odpowiedzieć nie chciał, zbywał tylko, lub uśmiechał się i wstydił, składając na jakąś chorobę. A nie była to choroba, bo gdyby bolał, toby potem znać to było na nim, zaś przeciwnie, weselszy i z jaśniejszą twarzą się przechadzał, i po takim zachwyceniu wstawał rzeświejszy daleko, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony...

Nikomu jednak nie powiedział co mu było... aż go raz dzieci napadły i jak zaczęły prosić, całować, uśmiechać się a dopytywać, tak popatrzywszy wkoło, żeby czasem ich kto nie podsłuchał, przemówił do nich następnie:

Jednego razu, gdy w zachwyceniu duszą został porwany na drugi, świat, wcisnął się przez drzwi przymknięte do samego nieba.

Była to właśnie chwila, gdy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, błogosławiąc je na drogę. Każdej z nich zawieszał torbeczkę z różnymi darami... ale staruszek dojrzeć nie mógł co się tam w nich znajdowało, bo choć bardzo święty, ale oczyma świeżo z ziemi przeniesionymi pochwycić ich nie mógł.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś święty mąż widząc ciekawość staruszka, zbliżył się doń i zapytał: czyby chciał widzieć co się w owych torebkach znajduje?

— O! i bardzo!

— Wiedz więc — rzekł święty — że żadna dusza nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, którymi szczerą dłonią sam Pan Bóg je uposaża, ale wszystkie potem powracając nazad, muszą zdać ścisły rachunek ze skarbu im powierzonego.

Spojrzyj tylko, dodał święty, przez to okienko, którem widać drogę ziemską i idące po niej duszyczki, co się to z temi niebieskimi torebkami dzieje! — Staruszek, że był bardzo ciekawy takich rzeczy, głowę wychylił przez okienko i spojrzał... Gościńcem szły tysiące duszyczek z torebkami na piersiach pełnymi... a szlak był ich pełen i mrowiło się tego niezmiernie mnóstwo... Nierychło rozpatrzył się stary w tym tłumie, ale powoli okiem poszedł za jedną, potem za drugą duszą i rozpoznał jak się to dary Boże marnują. Jedni szli śpiewając i rozsypywali je po drodze przez nieuważę, — drudzy padali nie spojrzawszy pod nogi i rozrzucaли co mieli w torebce, innym zabiegali drogę filuci i za lada cacko wyfrymarczali najdroższe zapasy życia... a mało bardzo było takich, coby donieśli do mety, co im Bóg dał, całe lub pomnożone. Najczęściej odarty i nagi przychodził człowiek do kresu i dopiero u drzwi niebieskich spostrzegł, że próżną niósł torbę. Byli i tacy, co chronili całą spuściznę swą, ale gdy przyszedli nazad do porachunku, pytano ich, czemu z Bożych darów nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą?

Niektórzy zamiast brylantów niebieskich, wracali z torbą błota i piasku... inni z nalaną łzami gorzkiemi i żalem... Ale tych staruszek Ojciec niebieski do serca przytulał, bo lzy i żal warte były drogich kamieni. Patrzał się tak a patrzał staruszek i byłby tam nie wiem jak długo pozostał, taki był widok cudny tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach i znów świeciły i znowu czerniały... gdyby święty ów nie odciągnął go od okienka.

Zdawało się mu, jakby ze snu się przebudził i znalazł się znowu na tym kamieniu, na którym siedział przy drodze.

Ale pamięć tego widzenia przez całe się w nim nie zatarła życie; przypomniał sobie potem z czym wyszedł na pielgrzymkę życia i z czym z niej powinien powrócić; zbierał to, co utracił; pomnażał co zebrał, a gdy przyszedł do rachunku, pewnie lżąc żalu pocziwą resztę torbki dopełnił.

Garbucha

Któż nie zna a przynajmniej nie słyszał o tych ślicznych okolicach, które się zowią Ojcowem i Piaskową Skałą? Kraj to jest bardzo piękny, górzysty, gdzieniegdzie lasami okryty, strumieniami przepływanym i tak Bożą ręką na pociechę ludziom stworzony, że się go napatrzeć nie można. Teraz on dosyć jest zamieszkały, ożywiony i ludny, ale za bardzo dawnych czasów tylko rozbójnicy i różni ludziska w nim się ukrywali, którzy się obawiali siedzieć gdzieindziej, albo ustronia i ciszy potrzebowali, bo im z tem milej było. Za tych to bardzo dawnych czasów, w jednej pieczarze niedaleko Ojcowca, obrała była sobie mieszkanie staruszka, o której nikt nie wiedział skąd tu przyszła i jak się nazywa. Ludzie ją przezywali „Garbuchą”, dlatego, że się trzymała przygarbiona ze starości. Chodziła jednak żwawo, i z kijem w rękę z workiem na plecach obiegała całą tę okolicę, zachodziła do kościołów na modlitwę, do chat, w których chorem lekarstwa różne przynosiła. Twarz miała starą, pomarszczoną, żółtą, ale bardzo miłą i zawsze słodko uśmiechniętą. Szczególniej zaś lubiła dzieci i choć one się jej z początku obawiały, umiała je powoli oswajać z sobą, to im owoce przynosząc, to różne ciekawe opowiadając historyjki. Zachodziła również do chat jak do dworów i wszędzie ją dobrze przyjmowano, bo była pobożną, a niektórzy nawet powiadali, że szczególne mieć musiała łaski u Boga, bo nie tylko sama sobie radę dawała w najgorszym razie, ale i drugim była wielką pomocą. W parowie zarosłym gęsto drzewami, był rodzaj pieczary odwiecznej, którą wody może wymyły, albo sama ziemia rozpęknięta stworzyła na schronienie dla zwierząt i ludzi. Garbucha, gdy nie chodziła po świecie, mieszkała samotna w tej pieczarze. Trzeba się było do niej drapać po ścieżce stromej, gdzieniegdzie nakształt schodów wydeptanej. Otwór do środka prowadził mały, ten dawniej nie miał żadnego zamknięcia, aż litościwy jakiś chłopiec, którego Garbucha uleczyła z choroby, zrobił jej z desek ładajako skleconych, rodzaj drzwi. Drugi pomógł do wygrzebania w ścianie okienka i przyniósł dwie szybki w drzewo oprawne, aby staruszka choć trochę światła miała. Ona sama, z pomocą może tych co do niej przychodzili po radę, w środku sobie pieczary zrobiła rodzaj chałupki... W jednym kącie mogła sobie czasem mały ogień nałożyć, bo dym szczeliną w górę wychodził i nie bardzo dokuczał; w drugim miała łóżeczko z suchych liści i garści słomy. Kamień, który tam od wieków leżał, służył za siedzenie, drugi zamiast stołu. Więcej Garbucha nie potrzebowała.

Przy ścianie, naprzeciw okna i drzwiczek, był jakby rodzaj ołtarzyka, krzyż, wianki, obrazek Najświętszej Panny, kilka świętych, a pod nimi kamień, na którym staruszka modląc się kłęczała.

Wychodząc z domu, nie potrzebowała na kłódkę zamykać ziemianki swojej, bo niktby się jej progu przestąpić nie ważył. Gdy pora była brzydka, na dworze zawieja, śnieżycą, plucha: stara całymi dniami siedziała zamknięta, żyła łada czem i modliła się na książkach, co dziwiło niemało wszystkich, że czytać i pisać bardzo dobrze umiała. Domyślano się z tego, że niegdyś w lepszym bycie musiała młodość spędzić.

O miłą od tej pieczary, w której Garbucha mieszkała, stał naówczas dwór pański jednego kasztelana, przesiadującego najczęściej w Krakowie lub Warszawie. Żona jego tylko z małym synkiem siedziała we dworze ze służbą liczną i dworem. Chłopak, a było mu imię Juluś, był bardzo ładny, roztropny, żwawy, od obojga rodziców ukochany i nicby mu zarzucić nie było można, gdyby nie śmieszna jakaś duma i wyobrażenie, że wszyscy ludzie którzy go otaczali, ledwie godni byli służyć i zbliżyć się do niego.

Może i pochlebcy dworscy co mu się kłaniali i pieścili go, winni byli temu, bo pani kasztelanowa przeciwie pokory go uczyła i obchodzenie się z ludźmi niegrzeczne, strofowała mocno. Niewiele to pomogło. Juluś do siebie nikomu zbliżyć się nie pozwolił, nie dając mu odczuć wyższości swojej.

Jednego razu Garbucha, która częściej do tego dworu zachodziła, niż gdzieindziej, a było to na wiosnę jakoś, przywlokła się do ganku, i choć ją tu zaraz nakarmiono i obdarzono, kręciła się, jak mówiła, chcąc ładnego paniczka zobaczyć i pokłonić mu się. Bartek wyrostek, który mu posługiwał, pobiegł dać znać Julusiowi. Ten, coby miał być wdzięczny i ucieszyć się z tego, rozgniewał się, że stara jakaś żebraczka tak poufale się o niego dopytywała. Wybiegł zaraz do ganku, a gdy Garbucha chciała za brzeg sukienki

wziąwszy pocałować ją, wyrwał się jej, fukając niegrzecznie: — „A ty stara jakaś, jak ty śmiesz mnie się dotykać!”

Uszławszy to stara, podniosła głowę i Juluś zobaczył jak jej łzy z oczów pociekły. Zmieszał się, pomiarkował, ale Garbucha nic nie mówiąc, do bramy pospieszyła i znikła.

Niektórzy ze sług pochwalali ten postępek panicza, drudzy siedzieli markotni z oczyma spuszczone mi ale widać było, że im się to nie podobało. Matka o tym wypadku nic nie wiedziała wcale. Julusiowi jako jedynakowi pozwalano wiele, a gdy czasem kasztelanowa do Krakowa pojechała, zostawiwszy go z dyrektorem i ze służbą, chłopiec dokazywał bez miary. Jednego tedy dnia letniego, gdy matki nie było, Juluś sam z Bartkiem, maleńką strzelbęczkę wzięwszy, wybiegł w lasy poblizkie. Bartek bojaźliwszy napróżno go chciał wstrzymać, Juluś puścił się odważnie w głąb zarośli, a że mu się kraska nastraszyła na krzaku, do której chciał strzelić i zrywała się ciągle daleko, idąc za nią zabłąkał się... Bartka też zgubił. Gdy się opatrzył i bać zaczął, już ani drogi ani głosu ludzkiego koło niego widać nic słyhać nie było.

Juluś choć dosyć odważny, zapomniał o krasce i począł szukać ścieżki, lecz im się niecierpliwie kręcił, tem bardziej błakał.

Słońce piekło z góry, bo już było z południa, jeść mu się chciało, zmęczonym się czuł, na płacz mu się zbierało... Zrywał się, siadał, hukał, klaskał, nic nie pomagało. Okolica już była nieznamna, coraz większe góry i parowy, dziko, bezludno i straszno.

Spuszczając się w dół, drapiąc na wierzchołki, kręcąc w prawo i lewo, Juluś w końcu nie wiedział już nawet, w której stronie szukać miał dworu. Na jego hukanie wreszcie głos się jakiś odezwał, a po chwili krzaki zaszeleściły i ukazał się mężczyzna z brodą czarną, ogromny, straszny, który Julusia zobaczywszy, począł się śmiać.

Porwawszy się na nogi, chłopak co żywiej po swojemu dumnie i rozkazująco odezwał się do niego, że jest synem kasztelana, żeby go zaraz do dworu odprowadzono, gdzie nagrodę za to dadzą; zbój z brodą nic na to nie zważając śmiał się.

— Jesteś synem kasztelana, — odezwał się w końcu, — a to dobrze weźmiemy okup za waszeczki, a że o tobie ludzie powiadają, że się z nimi obchodzisz ostro i wysoko zadzierasz głowinę, z kilka dni pobędziesz u nas na nauce; nie zawadzi, gdy drewnka i wodę nauczysz się nosić i starszych słuchać. To mówiąc zbój Julusiowi pokazał drogę, którą miał iść i rzekł:

— Ruszaj!

Juluś zaczął się odgrzązać i chciał na ziemię położyć się, zbój wziął go na ręce gwałtem i poniósł kilka kroków, kazał milczeć i powtórzył: „Ruszaj!” Nie było sposobu, musiał słuchać. Szli tak długo, gdy zbój w ostatku zatrzymał się pod górą, ogromny kamień odwalił i Julusia do pieczary zamknął.

Tu oprócz niego znalazło się kilku jeszcze rozbójników, którzy Julusiowi nic wprawdzie złego nie zrobili, ale się nim posługiwali i tego dnia i następnych, pędzili go, szydzili sobie, tak, że nieborak ze strachu i z tej męki o mało nie zachorował. Przyzwyczajony do wygod, musiał spać na gołej ziemi, jeść suchy chleb i wodę ze źródła nosić i ogień zakładać. Cała pociecha jego była teraz w modlitwie, a gdy wieczorem pacierz odmawiał, przyszło mu na myśl, iż go Pan Bóg tak pokarał za to, że się obszedł niemiłosiernie z ową staruszką Garbuchą. Postanowił sobie w tem nieszczęściu, jeśli Pan Bóg da się wyzwolić od zbójców, dla wszystkich ludzi być uprzejmym i dobrym.

Tymczasem po zbłąkaniu się Julusia, kasztelan i matka na całą okolicę rozesłali ludzi, aby go szukali; ale zbójcy, którzy o tem wiedzieli, śmiali się z tego, bo w kryjówce swej byli bezpieczni. Jeden tylko z nich do Garbuchy poszedł nocą i powiedział jej, aby ona do dworu szła i okup im przyniosła, a oni chłopca wydadzą. Tak się też i stało. Nocą dnia następnego zbój okup odebrał i Julusia odartego, bladego, wystraszonego, przed drzwiami chaty Garbuchy zostawił, a sam umknął.

Juluś do dawnego nie był podobny i o mało że w ręce staruchy nie całował, ale teraz ona z daleka się od niego trzymała i widać po niej było, że pamiętała łzy swoje. Nakarmiła go, napiła, położyła spocząć na swem posłaniu, lecz nie zbliżyła się i półsłówkami odpowiadała tylko. Wkrótce potem nadjechali ludzie i matka, aby zabrać Julusia, i radość była wielka dla wszystkich, ale on sam smutny był, czując, że mu staruszka nie przebaczyła.

Po tym wypadku zmienił się bardzo chłopiec i wyszło mu nieszczęście na dobre, bo dla ludzi był wcale innym.

Rok potem jakoś upłynął, gdy raz późnym wieczorem kobieta z pobliskiej wioski przyniosła kasztelanowej list, a raczej kawałek papieru niewyraźnie zapisanego. Przeczytawszy go, z ogromnym płaczem i krzykiem zerwała się matka Julusia, wołając koni i ludzi...

Nie można było zrozumieć co się stało; kasztelan właśnie nadjechał z Krakowa i oboje, Julusia z sobą wzięwszy, natychmiast, mimo, że mrok zapadł, udali się w góry, ku temu miejscu, gdzie Garbucha przebywała.

Gdy do ziemianki jej przyszli był tam już ksiądz i staruszka umierająca ostatnie odmawiała modlitwy...

Zdziwił się Juluś niezmiernie, zobaczywszy matkę swoją klęczącą u łóżka Garbuchy, i całując jej rękę...

Garbucha ta bowiem, która była matką kasztelanowej, z wielkiej pobożności i pokory, naprzód do klasztoru odległego się zamknęła, aby Bogu służyć, potem dobrowolnie została pustelnicą, aby jeszcze cięższem życiem zapracować sobie zbawienie. I Juluś dopiero teraz zrozumiał, dlaczego staruszce lzy pociekły z oczów, gdy się do babki rodzonej odezwał tak zuchwale. Odtąd też każdą starość szanował i dla wszystkich, najbiedniejszych ludzi, był miłosiernym i uprzejmym.

Głupi Maciuś

O tym głupim Maćku, o którym wam już nieraz może niańki i służące różne dziwne historyjki opowiadały, powiem i ja wam jedną, której może niesłyszeliście. Był sobie raz możny wieśniak, który miał trzech synów, dwóch rozumnych, a trzeciego wszyscy za głuptaska mieli. Ojciec wzdychał, matka płakała, patrząc nań, bracia się śmieli, ludzie ramionami ruszali i mówili: co z tego biedaka będzie? Maciek miał dobre serce, powolny był, posłuszny, pracowity, ale wygadać się jak drudzy nie umiał i co mu kto powiedział wszystkiemu wierzył. Poszedł w pole do roboty, a miał z sobą w kobiałce albo w dwójczkach jedzenie, spotkał ubogiego, albo nawet głodne psisko, zaraz częstował, dzielił się, czasem wszystko oddał, a sam powracał na czczo. Ale śmiał się z tego i wesół był, a drudzy też wyśmiewali się z niego. Nigdy się nawet i za to nie pogniewał i powiadał im: „na zdrowie!” Litowano się nad nim powszechnie, bo stary ojciec przewidywał, że gdy mu umrzeć przyjdzie a Maciek zostanie sam na kawałku gruntu z gospodarstwem nie da sobie rady i zejdzie w przedce na dziady. Na opiekę starszych braci nie wiele było można rachować, bo ci go lekceważyli, a o sobie tylko myśleli. Matka też popłakiwała nad przysłym jego losem, frasując się, co z niego będzie.

Rodzice już nie byli młodzi, więc naprzód staruszce się zmarło a ojciec zatęskniwszy za nią, wkrótce też obległ i na śmierć się dysponował. Nim zaś nadeszła ostatnia godzina, zwołał jeszcze synów wszystkich do siebie, starszym zalecając aby nad Maćkiem opiekę mieli, nie opuszczali go, pamiętając, że on im jest rodzonym bratem.

Po śmierci ojca, pogrzebie i stypie, przyszło tedy braciom dzielić się ojcowizną. Maciek tam oczywiście żadnego głosu nie miał, siadł pod piecem i mówił: „co mi dacie, to wezmę”.

Bracia, niedobre chłopcy, myśleli tylko jakby się Maćka zbyli. Gruntu mu dawać nie chcieli, pieniędzy się nie znalazło w skrzyni, a gdyby i były jakie, pewnieby ich Maćkowi nie wydzielili... Z bydelka, roboczych wołów i koni, co było tego, potrzebowali do gospodarstwa, które między sobą na połowę rozdzielili. Maćka chcieli wykwitować lada czem i starszy, mu rzekł:

— Co ty tu będziesz robił? głupi jesteś, poszedłbyś w świat po rozum, możebyś go na drodze napytał. My cię za parobka wziąć nie możemy, boby ludzie na to sarkali... Ruszaj sobie gdzie na służbę za oczy!

— Juźci, na drogę coś ci się da, rzekł młodszy, — abyś nie biedował póki służbę znajdziesz... Dostaniesz kozuszyne przynoszoną, a bodaj i starą... siermięgę po ojcu, a czapka też nieboszczyka niezła... no! i kij jego w dodatku, abyś się miał czem psom opędzać.

Niebardzo się Maćkowi z tej chaty iść chciało do której był nawykł, prosił się więc, aby go choć za parobka lub pastucha u siebie zostawili, ale bracia się na to w żaden sposób zgodzić nie chcieli.

— Z ciebie dla naszego całego rodu tylko pośmiewisko; żaden z nas żony nie dostanie póki ty tu w chacie będziesz. Ruszaj, gdzie cię oczy poniosą!

Naglili tak i nastawali, że w końcu zgodził się Maciek iść precz, byleby mu dali się czem okryć i jaki grosz na drogę.

Gdy Maćka już w podróż trzeba było wyprawiać, bracia poszli do komory i wybierali odzienie co najstarsze i najgorsze, śmiejąc się, a opowiadając, że to jeszcze dla niego aż nadto dobre było. Maciek się ani spierał, ani napierał, brał co mu dawali. Dostał więc jak postanowili, starą korzuszynę wynoszoną po ojcu, starą jego siermięgę, czapkę baranią i kij, buty jedne podarte i parę łapci w zapas.

Nie straciwszy mimo to serca do braci, pięknie się z nimi pożegnał, starszego w rękę pocałował, młodszego uściśkał, nawet z psem Burkiem, który go za wrota przeprowadził, przystojnie się rozgadał, no i poszedł w świat.

Na drogę dali mu bracia dziesięć trzygroszniaków.

Szedł tedy głupi Macius polem, borem, gdzie go oczy niosły, ale naprzód zawrócił pode wsią na cmentarz, aby się na grobie ojca i matuli pomodlić. A był dzień wiosenny piękny, i na tej Bożej roli tak kwiatki bujały i rosły, jak na najweselszej łące i pachniało dokoła i ptaszęta śpiewały.

Znalazł Maciek w rogu cmentarza mogiłę, na niej krzyż, który on sam z drzewa wyciosał, przykląkł tedy, zmówił Anioł Pański, a potem siadł odpoczywać i dumać. Kiedy tak sobie myśli o ojcu i matuli a o tem, co z sobą robić będzie i gdzie ma chleba szukać, patrzy, aż siadła na ogrodzeniu sroczka i kiwa do niego główką, jakby się z nim witała. Maciek się też jej pokłonił, bo sroka sroka, a każdemu dobrze życzył i nikomu chybić nie chciał. Patrzy on na nią, aż otworzyła dzióbek i poczyna gawędkę:

— Jak się masz Maćku?

— Zdrowa bądź sroczko! Bóg zapłać.

— Coś to ty tak markotny?

— A no widzisz, szukam służby, nie wiem czy znajdę, braciom trzeba było ojcowizny ustąpić, idę w świat.

— No, no — odezwała się siedząca na płocie, — przecież ty tak biedny nie jesteś. Ojciec wiedział dobrze, że ci bracia dadzą pewnie jego starą siermięgę. Popatrzno w niej dobrze; całe życie w nią dukaty zaszywał. Porozparaj rękawy i kołnierz, znajdziesz za co sobie chatynkę i kawał gruntu kupić...

Zakręciła sroka ogonkiem, ześmiała się i poleciała. Myśli tedy Maciek, — a może i prawda! bo ptaki różne rzeczy wiedzą. Wziął się tedy do siermięgi i począł pruć, aż posypały się obrączkowe dukaty, a było ich tyle, że w podolek od koszuli związawszy je, nabrało się z pół garnca.

Podziękowawszy tedy ojcu, poszedł wprost Maciek do bliźkiego dworu i chatę z ogrodem, jak należy, i z kawałkiem gruntu kupił, a jeszcze mu przygarść została na początek gospodarstwa. Trzeba było i koni i wołów i owieczki i świnki i wszystkiego, co w podwórku i chlewkach być powinno. Musiał tedy iść na targ do miasteczka, a że mu bez chłopca w chacie trudno było samemu, a trafił się sierotka, wziął go sobie do pomocy. Dopieroż ani dnia ani nocy nie oszczędzając, do roboty się jął Maciek, jako to na swem własnym z wielką ochotą. A szło mu wszystko jak z płatka. Nie wyszedł rok, gdy już głupi Maciek tak zasobny był a tak u niego wszystko ślicznie się udawało, że mu sąsiedzi zazdrościli. Już mu tedy i żonę swatano, ale nie chciał się żenić, dopóki się dobrze nie rozpatrzył.

Jednego wieczoru, gdy na przyzbie sobie siadłszy, chleb zajadał a serem zakąsywał, patrzy, drogą jedzie wóz, krowa chuda z wołem do niego zaprzężona, a na wozie jeden z braci jego siedzi napity, drugi leży, — jadą klóć się. Zobaczywszy Maćka, zdziwili się mocno i stanęli...

— Cóż to, ty tu służysz, a jak się gospodarz zowie co cię wziął?

Na to Maciek śmiejąc się, powiada:

— Tak się zowie jako i ja... niema go podczas w chacie, wstąpcie proszę, bo oto chłopak wieczerzę sposobi, będzie na nas trzech.

Bracia z wozu wylazłszy, do chaty szli, dziwując się zamożności i porządkowi; i posiadali za stołem. Maciek piwa kazał przynieść i braci częstował. Gadu a gadu, począł im rozpowiadać o gospodarstwie, o zbiorze o dostatkach, aż w końcu śmiejąc się, dołożył:

— Widzicie, że mi Pan Bóg poszczęścił, bo gospodarzem, u którego służę, ja sam jestem, a wszystko co tu widzicie, moje!

— Jakże to może być! — zawołali bracia — kiedyś goły jak palec z domu wyszedł.

— A no, daliście mi przecie starą ojcowską siermięgę, a w niej znalazłem, co mi nieboszczyk tatulo przeznaczył.

Porwali się bracia za włosy, widząc, że się oszukali przez chciwość swoją, bo chata i gospodarstwo Maćkowe więcej było warte niż ojcowizna. Poczęli tedy krzyczyć i wymyślać, że oszukał ich i okradł.

— Wiecie co? — rzekł na to Maciek — gorsza mówicie ojcowizna, gospodarstwo u was podupadło, krowę widzę do woza zaprzęgacie. Mówicie, że was pokrzywdził, głowa za głowę, — mieniajmy się.

Bracia poszli się rozpatrzyć. Maćkowa część lepsza była od ich obu razem. — Zgoda! zawołali, ruszaj ty do naszej chaty, my bierzemy twoją, a wynos się zaraz jak stoisz!

— Tylko starą siermięgę ojcowską zabiorę z sobą, i bywajta zdrowi! — rzekł Maciek; — miłsza mi ojcowizna choć nędzna, niż wszystko. Szczęść Boże!

Skinąwszy tedy na sierotę swego, poszedł do woza krową zaprzęzonego, chcąc go z sobą zabrać bo mu się on należał wedle umowy, ale bracia i tego nie dali. Przepędzili go kijem za wrota.

Szedł tedy Maciek znowu, ale coby się miał smuć, radował się wielce. Dopiero gdy do chaty ojcowskiej dobił się a zobaczył ją pustą, kolkiem podpartą, w oborach nędzę, w stodole pustki, wszędzie brud i nieład, serce mu się okrutnie ścisnęło. Jeszcze obchodził powyłamywane płoty dokoła, gdy na jednym z nich, patrzy, siedzi srocza i ogonem wywija.

— Dobry dzień Maćku.

— A niebardo on dobry, — westchnął nowy gospodarz; — widzicie, co to tu za bieda, rąk niema za co zaczepić, jak ja sobie rady dam?

— Ale ba! — odparła jejmość z białym kołnierzykiem: — a Boża opieka? Jakoś to będzie. W komorze w rogu podłubcie, jest tam garnuszek dla was, co go matula zakopała.

Rozśmiała się poczciwa srocza i furknęła. Maciek choć doświadczył, że nie kłamała, ale nie bardzo chciał wierzyć. Jednak do komory poszedł, łopatą poruszył ziemię, no — i garnuszek znalazł, ale dukatów w nim nie było, tylko talary, dobrą miarą około garnca. Panu Bogu tedy dziękował, odwagi nabrał, i dopiero całe gospodarstwo na nowo wielką pracą i zachodem począł podnosić. A szło mu i tak jak z płatka. Nieraz zdawało mu się, że ojca i matulę koło siebie widywał, jakby czasem mu co szeptali i podpowiadali, a cieszyli się; niekiedy srocza na płocie siadała i wesolą z nim rozpoczęła rozmowę, a zawsze jakąś dobrą dała radę. — Sąsiedzi niezmiernie się dziwowali, że głupi Maciek był tak rozumny i szczęśliwy, ale że się wygadać i chwalić nie umiał, nazywali go przecie głupim Maćkiem i żartowali z niego. Markotno mu to było, bo już się dla gospodarstwa i z tęsknoty, że się sam jeden został, żenić chciał, a za głupiego Maćka nikt córki nie chciał dać. Gdzie się tylko zeswatał, odprowadzano go z kwitkiem, aż jednego razu, idąc poza wsią, pod płotem, patrzy, siedzi dziewczątka obdarte i płacze. Stanął tedy i pyta:

— Co ty za jedna? co tobie jest?

Nierychło mu dla wielkiej żalości i płaczu, poczęła rozpowiadać powoli, że ją matula odumarła i tak sama jedna została na świecie.

Serce mu się ścisnęło na tę niedolę patrząc, a że jej sam skosztował ulitowawszy się nad sierotą, wziął ją za rękę i poprowadził do sołtysowej żony, Barciechy.

Barciecho, matko — rzekł: oto biedna sierota jest, która przytułku nie ma, mnie jej do chaty brać nie godzi się, bo tam matki i opieki nie znajdzie, przyjmijcie wy ją i hodujcie jak najlepiej a ja zapłacę... I choćby nie wiem co miało kosztować — niech u was sierocie dobrze będzie!

Zgodziła się na to sołtysowa, zmiarkowawszy zaraz, że i posługę mieć będzie, bo jej sierota i ziela przyniesie, i gęsi popasie i wody zaczerpie, i Maciek głupi zapłaci jeszcze. Sierotka tedy została u niej a Maciek się o nią raz wraz dowiadywał i tak mu w oczach rosła a piękniała, że już myśleć zaczął, żeby się z nią ożenić. Sierotka przez wdzięczność, bardzo się do niego przywiązała i gdy miał przyjść, czekała na niego na drodze z uśmiechem i dobrem słowem. Sołtysowa się też jej odchwalić nie mogła, bo była pracowita, zręczna i roztropna.

Upłynęło parę lat, gospodarstwo Maćkowe szło znowu doskonale a ojcowizna tak się polepszyła, że mu sąsiedzi zazdrościli.

— Niema to jak głupim być, — mówili, — człowiek ma szczęście. Ot i ten Maciek, niezdara, trzech zliczyć nie umie, a tak mu idzie, jak po maśle.

Jednego razu, gdy Maciek wracał z pola i chciał sierotkę swą nawiedzić, nie znalazł jej jak zwykle w podwórku, ani przy studni. Patrzy, w progu sołtysowa stoi i fartuchem lży ociera. Tknęło go coś, zbliżył się.

— Niema naszej Marysi! — rzekła. — Wczoraj jacyś wielcy państwo przyjechali i wzięli ją jak swoją, powiadając, że ich była. Nawet się jej z tobą pożegnać nie pozwolili, z czego mocno płakała i kazała tylko powiedzieć, że póki żywa o tobie nie zapomni.

Pocziwy Maciek coby był miał się zgryźć że ją utracił, począł Panu Bogu dziękować, że ją szczęście spotkało, ale poszedł do domu jak struty... Nic mu już w smak nie było.

Jakoś wprędce potem, jednego dnia, kiedy siedział nad misą klusek i jeść mu się nie chciało, posłyszał huk wielki: wpadli do chaty bracia jego, którzy już gospodarstwo od niego odebrane zmarnowali, i precz go wygnali z ojcowizny jak przywłaszczyciela, odgrządzając się, że zabijają, jeżeliby się śmiało pokazać i o cokolwiek upominać. Maciek nawet nie sprzecząc się, za kij wziął i poszedł w świat.

Idzie tedy, idzie polem, — aż szóstego dnia spotkał przy dworze dziewczątka, niby ową sierotkę, ale tak wystrojoną i wypiękniałą, że mu ją trudno było poznać. Ta zaś Maćka zdala od razu poznawszy, rzuciła mu się na szyję i gwałtem do swej rodziny zaprowadziła, jako dobroczyncę, co ją w biedzie ratował. Został tedy Maciek przy dworze, niby w służbie, a jak go lepiej rodzice poznali, że sierotka bardzo go kochała, wydali ją za niego...

Trudno uwierzyć, ale tak ci było, bo i mnie na wesele prosili, i ja tam byłem, miód, wino piłem... po brodzie ciekło, w gębie nic nie było... I koniec.

Mitrega

Posłał raz Pan Bóg na ziemię anioła, który nigdy jeszcze na niej nie bywał. Patrzył na nią tylko z wysoka, a uszu jego dochodziły stamtąd skargi i narzekania. Ciekawym więc był z blizka ten padół płaczu zobaczyć. Sprawa, z którą został wysłany, nie była tak bardzo pilna, pozwolił więc Pan Bóg aby się bliżej rozpatrzył po ziemi.

Gdy anioł postać ludzką przybrawszy spuścił się na zieloną dolinę zewsząd lasem otoczoną, przez którą płynęła rzeczulka, a była właśnie wiosna: ptastwo wśród drzew, na łące, w powietrzu śpiewem i szczebiotaniem je napelniało, — kwiaty rozkwitały, powietrze wonne było i świeże, bardzo mu się ziemia podobała. Uśmiechnął się do niej mówiąc w duchu, że ludzie bardzo zepsuci być muszą, gdy się na pobyt w takim raju uskarżają.

Bo ziemia na pierwszy rzut oka wydała mu się rajem. Począł się jednak rozpatrywać dokoła i postrzegł najpierw wilka, który zakradłszy się za krzakiem, skoczył do owcy, zadusił ją i pożerał. To mu się nie podobało. Trochę dalej lis siedząc u jamy, w której mieszkał, chrupał kurę świeżo pochwyconą. Na drzewie jastrząb darł gołębia, a w gałęziach jego pajak czatował na muchy. — Pomyślał sobie jednak, że taki musi być na świecie porządek między zwierzętami, aby się silniejsze karmiły słabszemi, ale między ludźmi inaczej być musi.

Jednakże ciekaw był posłyszeć jak się zwierzęta tłómaczyć będą ze swego okrucieństwa, i zapytał naprzód wilka, za co nieszczęśliwą owcę, matkę dzieciom, tak nielitościwie zamordował?

— Bo mi się jeść chciało! odpowiedział wilk nie obwijając w bawelnę.

Gdy się zbliżył do lisa i zadał mu pytanie co do kury, otrzymał odpowiedź, że to była istota niegodna litości, pełna przewrotności i zdradzieństwa, że zgrzeszyła nawet przeciw Bogu, bo grzebała w ziemi i dobywała ziarenka, które Opatrzność siała aby zeszły i kwitły, że dopuściła się mężobójstwa na kilku statecznych robaczkach, które połknęła bez litości. On więc lis choć boleścią serca, musiał na niej wyrok sprawiedliwy wykonać.

Gdy się jastrzębia spytał o gołębia, odparł mu, że gołąb nie zdał się na nic tylko do jedzenia, bo śpiewać nie umiał i pierze miał nie piękne, a chodził niezgrabnie. Pajak w sprawie much zagadnięty, tłómaczył się, że całemu światu były naprzykrzone, i że

oddawał ogromną przysługę ludziom i bydłu, tępiąc ten owad paskudny. Nawiasowo zaś dodał, że tłusta mucha była wcale smaczną.

Z tych odpowiedzi niewiele się nauczywszy, prócz, że zwierzęta dużo w sobie miały przewrotności, zagadał jeszcze anioł do kwiatów i drzew, jak się im działo, pewnym będąc, że im dobrze być musi. Lecz zaledwie się odezwał, gdy skargi zaszeleściały dokoła. Stary dąb stękał, że go pastuszki opalały, że ptacy im gałęzie gniazdami zabrukiwały, że mech na niego wlaził, że burze nimi targały.

Krzaki użalały się na sąsiedztwo dęba, który z ziemi wszystkie soki wyciągał, tak, że im do życia nie pozostawało prawie nic; trawa się skarżyła, że ją bydło gryzło; łopuchy, że pod niemi żaby mieszkają; dzwonki, że je dziewczęta rwały do wianków. Słowem nikt ze swojego losu kontent nie był.

Lecz że to były wszystkie stworzenia nie obdarzone rozumem, anioł sądził, że z ludźmi inaczej być musi.

Po drodze zdziwił się, że kamienie nawet szemrały i piszczwały, jedne na pleśnie i porosty, drugie na to, że je łupano w kawały na budowy, inne, że korzonki drzew wciskały się im pomalutku w samo ich ciało i bardzo prędko, w jakie sto, dwieście lat, w proch gmach obracały.

Zamyślony anioł szedł przez las ale mu się już ziemia takim rajem nie wydawała jak zrazu.

Na skraju lasu trafił na ubogą chatkę, w której mieszkał budnik, który się zwał Mitręga. Było to bardzo biedne czelczyisko. Właśnie przyniósłszy wody, siedział w progu i łupał szczepki, żeby było czem ogień podpalić i jeść zgotować; odziany był ubogo, koszulę miał czarną, włosy nieuczesane, ręce zasmolone, i stękał głośno a narzekał.

Zbliżył się anioł do niego. — „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. — Na wieki wieków, — odpowiedział Mitręga.

— No i cóż tam u was słychać? — zapytał, — jakże tam na roli i w domu?

— A! zachcieliście, — rzekł Mitręga — bieda i po wszystkim; nędza coraz gorsza, co roku to ciężej na chleb zapracować, pot się z czoła leje, chwileczki spoczynku człek nie ma. A tu dzieci kupa, a tu wszystko jeść woła, i na moich ramionach dom, gospodarstwo, aż już tchu nie staje.

— Cóż ci to najbardziej dolega? — badał anioł — powiedz mi szczerze.

— Co? chyba wszystko! — począł Mitręga. — Dobrego niema nic, złe od rana do nocy prześladuje. A ze wszystkiego najgorsze to, że nieustannie, bez spoczynku pracować potrzeba.

— W niedziele przecie odpoczywacie! — rzekł anioł.

— Bodajęś tak zdrów był — zaśmiał się Mitręga. — Toć muszę drew babie przynieść, wody przygotować, często rzepę skrobać, w ogień dmuchać, bydelku zarzucić paszę, napoić! A! a! kto to zliczy.

— Ale i w ciągu roku — mówił anioł — przecie są tygodnie i miesiące w których wypoczywacie.

Mitręga się począł śmiać.

— A skądże to was tu Pan Bóg dał? Chyba nie znacie życia naszego i porządku ziemskiego. Kiedyż to spocząć można. Zimą to się młóci, wysiewa, wywozi, a długo tam tej zimy. Namarznie człek, prawda, ale żeby wypocząć?! gdzie zaś. A tu ledwie wiosenkę skowronki zazwiastują, ruszają z gnojem w pole i z sochą, trzeba siać, żeby grad miał co wybijać. Skończyła się siejba, zaczyna się zbiórka; jeszcze ziarno moknie w kopicach a tu przepiórka woła: „pójdźcie żąć!” Nim się owsy pokłosiły, a tu już orać trzeba na gwałt, aby pierwsze żyto na Bartłomieja zasiać.

I westchnął Mitręga, a że się rozgadał, więc mu język chodził już jak rozpędzony kołowrotek, który choć prządka odejdzie, jeszcze się obraca.

— Ale bo tak źle na świecie, źle! Spoczynku niema. A nie wiadomo nawet czy i na drugim będzie lepiej, bo tam, jak słychać, trzeba będzie z aniołami dzień i noc śpiewać a to także robota.

— Więc ci się robota tak naprzykrzyła? — zapytał anioł.

— A jużci, a jużci, — odparł Mitręga — bo jakem się urodził, tom spoczynku nie znał.

Coś sobie anioł pomyślał, i powiada mu:

— Człeczko kochany, żal mi cię. Wiesz co? oto ja ci dam worek złota, rozumiesz; ale pod tym warunkiem, żebyś sobie życie urządził spokojnie i żebyś nic a nic nie robił.

Mitręga mu się do kolan rzucił, całując go po nogach i zbawcą swym nazywając, a gdy chciał dziękować jeszcze mocniej, anioł wstał i polecił co prędzej. Powtórzył mu tylko jeszcze raz, że teraz już nic a nic robić niema.

— A ktoby tam o robocie myślał, kiedy może za piecem leżąc słoninę z chlebem jeść, odparł Mitręga.

Szedł tedy anioł dalej, a co widział i słyszał, tego my już opowiadać nie będziemy.

Tymczasem ów Mitręga panem się stał, i począł we wszystko opływać, Panu Bogu dziękując. Miał już i parobków, i włodarzy, i dozorców, i tak jak sobie życzył, za piecem się umieścił, szperkę przyskwarzoną z chlebem zmiatał, piwem popijał, dobrze mu się, strasznie dobrze działo.

Przyszła tedy zima, przywieziono mu drewno, napalono w piecu, a Mitręga z boku na bok się przewracając, Pana Boga chwalił.

Wtem jakoś po krótkim czasie, napadło go poziewanie. Ziewa, ziewa, aż mu w szczękach trzeszczy; co ziewnie to krzyżyk zrobi na ustach a niepomaga. Myśli sobie, wstanę. Zwlókl się tedy do okna, na ławie siadł, popatrzał sobie na podwórko, drzemiąc. Nudno mu było.

Zbierało się już jakoś na drugą wiosnę, na podwórko wróble kupami latały, to przypadając ku ziemi, to gniazda ścieląc; skowronek bujał, jaskółki błoto w pyszczkach nosiły, bociany po łąkach się uwijały, co żyło strasznie się ruszało, krzątało, kłopotalo a śpiewało wesoło.

Mitręga ziewał. — Chwała Tobie Panie — myślał, — że ja nie potrzebuję nic robić, to się za wszystkie lata wywczasuję.

A no, ziewał bo nudno mu było.

Wyszedł na podwórze i siadł na przyzbie.

A tu parobcy z dziewczętami się kręcą, ciężary dźwigają, bydło zaganiają, z pługami wychodzą, z bronami wracają. Mitręga sobie siedzi ręce złożony, palce około palców okręca i ziewa. — Dobrze mi!

Wieczorem poszedł za piec. Ale że cały dzień drzemał, zasnąć nie mógł. Począł się wyciągać, sen nie przychodził, przeleżał tak do rana.

— Dawaj babo jeść!

Przynieśli mu misę ogromną klusek; wziął się do niej zajadać — ale, apetytu nie było. Zdawało mu się, czy przydymione, czy nie dosolone; soli dosypał, słoniny dołożył. W gardło nie idzie. Więc do piwa. Piwko zdawało mu się kwaśne, — woda niesmaczną.

Babę polajał, dostało się wszystkim po trosze, na ławie siadł i muchy spędzał.

Dzień mu się wydawał długi, taki, że ani przeżyć; nadeszła noc, ani przespać...

Owo ziewanie napastuje go ciągle. Humor mu się popsuł.

W kilka dni stękać począł, sam dobrze nie wiedząc czego. W pole poszedł, nogi mu ocięzwały, nagniewał się na parobków i powrócił zły. Cały dzień przekawęczał, całą noc znowu przestękał.

I myśli sobie. — Co to jest? Wszystkiego podostatkiem mam czego dusza zapragnie, a do niczego ochoty nie mam.

Ale przypomniawszy sobie z trwogą jak ciężko dawniej pracował, pocieszył się tem, że nic nie robi i usnął. We śnie mary go trapiły, obudził się z bólem głowy strasznym, a taki zły, że ani przystępu do niego.

Co tu robić? Ba! — począł mu się już zachciewać byle czem ręce zająć, choćby pójść drewno narąbać, ale wstydział się — a potem słowo dał. A słowa, choćby Mitręga dotrzymać musi.

Sam sobie nałajawszy, siadł Mitręga na przyzbie i orzechy gryzł. Wszystkie prawie były dziurawe. Narzekał tedy znowu jaki jest strasznie nieszczęśliwy i pluł i złorzeczył. Już ku jesieni — życie się stało nie do wytrzymania.

A co przy pracy zdrów był i okrągły, teraz wychudł, żółtkł, zmizerniał i ledwie się trzymał na nogach.

Przyszło do tego na ostatku, że dawnego życia pożałował.

— Głupim był, — powiedział sobie...

Wtem gdy tak się męczy, patrzy, idzie ten sam, który go złotem obdarzył.

— Niech będzie pochwalony!
— Na wieki wieków!
— A co u was słyhać, poczciwy Mitrego? Jużci szczęśliwi jesteście gdy macie coście chcieli?

Poskrobał się w głowę chłop. Nie śmiał się przyznać, że głupim się czuł.

Pewnie, żem z łaski waszej szczęśliwy, — rzekł wzdychając poniewoli, — a no coś mi jest.

— Cóż ci jest? — spytał anioł.

— Ot, czasami zachciewa się coś robić, bo mnie nuda zjada.

— Ależes przecie panem i pracować nie potrzebujesz — odezwał się anioł. — Chciałes państwa i spoczynku, to je masz.

Mitredze już tak nuda i bezsenność dokuczały, że namyśliwszy się, do nóg dobroczyńcy padł.

— Wróc mnie do dawnego stanu! — rzekł do niego. — Już mi dziś nic nie smakuje, sen nie bierze, schnę i mrę. Co mi po bogactwie, kiedy szczęścia ono nie daje... Wolę biedować jak przedtem.

Anioł się nad nim ulitował i zmieniając postać, stanął przed nim jasnością okryty.

— Człowiecze mój! rzekł. Niech ci się stanie jak pragniesz; ale wiedz o tem, że na świecie całego szczęścia niema. Pan Bóg zaś dał pracę człowiekowi, aby mu ulżył i życie znośniejszym uczynił. — Módl się więc i pracuj!

Z chłopca król

Na imię mu było Gawel, był najmłodszym z braci, — wszyscy oni uchodzili za rozumnych, jego głuptaszkciem nazywano; nie dlatego, żeby rozumu nie miał, ale że serce w nim było tak miękkie, że o sobie nie pamiętając nigdy, nad drugimi się litując, zawsze w końcu pokutować za to musiał.

Bywało, siada u jednej miski, bracia go zawsze odjedzą, a w końcu jeszcze i łyżkami po głowie biją, z czego on się śmieje... Najgorszą koszulinę zawsze miał, podarte łapcie, ale się tem nie gryzł i choć czasem przymarzył a wygłodził się, ale widział, że drudzy mieli do syta, a dobrze mu było, — on radował się także. Starsi od niego zawsze co chcieli wydurzyli, a potem wysmiewali się z niego. Ojciec i matka gryźli się tem, bo przewidywali, że na świecie źle mu będzie i nigdy nie dojdzie do niczego. Zostawiono go czasem w chacie do dozoru, — nie obeszło się bez szkody. Przyszedł ubogi, a prosił, Gawel mu oddał co gdzie znalazł, bodaj koszulinę z grzbietu, a zwierzęta karmił od gęby sobie odejmując, a każdemu na słowo wierzył i oszukiwał go kto chciał.

Ojciec go kilka razy obił za tę głupotę, aby przecie o sobie pamiętał, ale rozumu mu nie nabił. Gawelek jakim był, pozostał. Miał już taką naturę.

Raz gdy nikogo w chacie nie było a Gawel na przyzbie siedział, zjawił się przed wrotami ubogi, ale tak strasznie goły, bosi, odarty, głodny, biedny, zapłakany, osłabły, że chłopcu okrutnie go się żal zrobiło. A jak mu jeszcze zaczął opowiadać o nieszczęściu swoim, Gawel o wszystkim zapomniał. Wziął go do chaty i co było w niej najlepszego, ojcowską koszulę, sukmanę, chodaki, czapkę, oddał wszystko. Obiad, który stał na przypiecku przygotowany, odgrzał i nim go nakarmił. Naostatek wiedząc gdzie jest ojcowski węzełek, groszy co było w domu oddał ubogiemu wszystkie, krom dwóch trzygroszówek.

Napojony, nakarmiony, odziany, ubogi odszedł błogosławiąc chłopca, ale i śmiejąc się z niego potrosze...

Wkrótce potem matka z ojcem nadeszli, a Gawel im z wielką radością wypowiadał się z tego co zrobił. Ojciec wpadł w okrutny gniew, tak, że go nawet matka pohamować nie mogła, poczał syna kijem okładać okrutnie, grożąc, że go zasiecze jeżeli się kiedy w chacie pokaże.

— Idź trutniu! — wołał — idź, gdzie cię oczy poniosą, giń marnie i niech cię nie znam!

Gdy Gawel miał już precz iść, matka się nad nim ulitowała i przez okno rzuciła mu dwie pozostałe trzygroszówki.

Wziął je biedak zasmucony, i — co było robić? — ojciec, choć mu do nóg padał, słuchać nic nie chciał, musiał precz iść. Myślał sobie, jak się ojciec przegniewa, powrócę — i przebaczy. Ojciec zaś mówił — niech sam nauczy się dbać o siebie, inaczej nas zuboży i nic z niego nie będzie.

Wyszedł tedy Gawęł na gościniec, popatrzał — dokąd tu mu iść?.. westchnął do Boga i puścił się gdzie oczy poniosą.

Jeszcze się był niedaleko od wsi odsadził, gdy spotkał jednego ze swych braci.

— A dokąd to?

— W świat idę, ojczyisko się pogniewało, nabił mnie i kazał precz iść, a na oczy mu się nie pokazywać.

Starszy brat rozśmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak, boś głupi. Jak rozumu nabierzesz, wówczas powrócisz.

Odwrócił się od niego śmiejąc i poszedł.

Trochę dalej pod gruszą, patrzy, siedzi brat drugi i pyta go:

— Dokądże to?

— A no, w świat, bo mnie ojciec wygnał precz.

Drugi brat śmiać się też począł i powiada:

— Szczęśliwej drogi, głupi Gawęłku! Będzie nas mniej, to się lepiej najemy.

Szedł więc Gawęł, szedł, aż trzeci brat pędzi woły z paszy.

— A ty dokąd?

— Z chaty mnie wygnali... bywaj zdrów, wędrować muszę, a na drogę nie mam ino dwa trzygroszniaki.

Trzeci brat ruszył ramionami.

— Jabym ci i złamanego szeląga nie dał, odezwał się, takiemu głupcowi jak ty dawać, to w dziurawy worek tkać. Bywaj zdrów!

Pożegnawszy się w ten sposób z rodziną, nie miał już Gawęł co robić we wsi i okolicy i przyspieszywszy kroku, puścił się nieznaną drogą. Głodno mu było, smutno bardzo po swoich, ale jednak Panu Bogu ufał. Kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył, — mówił sobie. Kraj dokoła stał jakiś pusty bardzo. Szedł tedy, szedł, nikogo nie spotykając długo, aż idzie człek naprzeciw, a na plecach worek niesie, w worku się coś szamocze żywego.

— Boże pomagaj, — odezwał się Gawęł — co to niesiecie, pocziwy człeczce?

Ten stanął.

— Co ty mnie pocziwym nazywasz — ofuknął się, — pocziwy to znaczy głupi... ja nim nie jestem. Niosę kota czarnego, aby go utopić. Kot był szkodnik, zamiast myszy łapać, mleko wypijał i do misek zaglądał. Uczępię mu kamień do szyji i niech idzie na dno.

To mówiąc pokazał głowę kota Gawłowi, a było to stworzenie takie śliczne, lśniąc-co czarne, z dużymi oczyma, z pyszczkiem różowym, że się Gawłowi niezmiernie żal go zrobiło.

— Takiemu młodemu, ślicznemu kotkowi ginać!... Daj mi go! — rzekł do chłopca — co masz topić, ja go wezmę...

— Darmo! — zaśmiał się chłop. — O! nie, tego obyczaju u mnie niema. Wolę utopić jak dać darmo. Nabrałbym złego nałogu.

— Zapłacić nie mam czem — odparł Gawęł — całego majątku mam dwa trzy groszniaki, ale jeżeli jednym się zaspokoisz? Co robić! Byłem kotkowi życie ocalił.

Chłop podumał, ruszył ramionami, wziął trzygroszniak i kota mu oddał.

Gawęłek szedł dalej, wesół, że bożemu stworzeniu życie ocalił, a kot też zdawał się rozumieć wyświadczone dobrodziejstwo, bo się do nowego pana tulił i pomrukiwał. Miał chłopiec w kieszeni chleba kawałek, więc choć sam jeść chciał, pomyślał, że on sobie łatwiej strawy dostanie. Przełamał chleb na pół, pokruszył go i nakarmił kota, który zjadłszy z apetytem na rękę u niego usnął.

Odszedł może stai kilkoro, patrzy, znowu człek idzie i worek niesie, a w worku się coś szamocze...

— Pomagaj Bóg człeczce, — rzekł stając Gawęł, — a co to za towar niesiecie?

— Towar? — odparł człowiek — nie towar to żaden, nie prosię tłuste, ani gęś, ale złe i niepocziwe psisko. Drobiu mi już zdusił kilkoro a szczeka, a po nocach wyje... przywiążę mu do szyji kamień, niech idzie na dno.

To mówiąc, pokazał psa Gawłowi, który mu się wydał bardzo śliczny. Psiuk miał taką minę, jakby się prosił aby mu życie darowano. Litość wzięła Gawła.

— Dajcie mi go — rzekł.

— Darmo? toć skóra przecie coś warta? Kuśnierz ją zafarbuje i sprzeda za lisią. Co dasz?

— Jedyne tylko, ostatnie mam trzy grosze — odezwał się Gawełek, dobywając grosz-
niak z węzélka.

— Co robić, dawaj choć tyle, — rzekł śmiejąc się człowiek — a nie, to psa zabiję albo utopię.

Targ w targ, musiał Gaweł zapłacić za psa ostatnie trzy grosze, a człek mu psiuka oddał i poszedł rechocząc ze śmiechu, głupim go zowiąc, o co się Gaweł nie gniewał.

Pies około niego skakał, szczekał i przypadał mu do nóg.

Trzeba go było nakarmić. Dobył chłopak ostatni kawałek chleba, pokruszył go i psu oddał... Tak tedy z kotem na rękę i psem u nogi, puścił się dalej w drogę.

Głód mu mocno dokuczał a i nogi zmęczone nie dopisywały.

Siadł więc pod gruszą, na kamieniu, myśląc, co dalej robić?

Pies się położył z jednej strony, kot z drugiej. Gaweł tymczasem Panu Bogu dziękował, że mu się dwoje stworzeń uratować udało.

Tylko głód czuł wielki i w żołądku mu świdrowało. Słońce się miało ku zachodowi, w polu jak zajrzeć, ani gospody, ani miski. Co tu robić? Bieda! Ani sobie, zwierzętom poradzić. Dokoła pustynia, ani jeść niema co, ani się gdzie przespać, a tu noc nadchodzi.

— Albo to Pana Boga niema? — rzekł pocieszając się Gaweł.

Spojrzał na swoich towarzyszków. Kot siedział, oczy żółte to przymrużając, to otwierając szeroko... Pies spoglądał na niego i ogonem kiwał.

— A co! bieda? — odezwał się wesoło do pieska...

Pies, jakby go zrozumiał, zerwał się, nosem pociągnął, zaczął chodzić wkoło, ziemię wachać, naostatek nuż grzebać.

Grzebie, grzebie tuż przy nogach chłopca, aż się zasapał, coraz głębiej coraz żywiej, ziemię łapami odrzuca, a oczy mu się świecą, poszczekuje wesoło, coraz to spojrzy na Gawła i grzebie dalej a dalej.

— Co to on sobie myśli? — rzekł w duchu Gaweł; — już ciż on darmo dla zabawki tego nie robi i musi coś znać i wiedzieć.

Wtem pies nozdrza zapuścił w wykopany dół powąchał mocno, podniósł się i szczeknął, jakby w głąb wykopanej jamy pokazywał chłopcu.

Gaweł wstał, pochylił się i zajrzał... Patrzy: na samym dnie leży coś błyszczącego; rękę zapuścił głęboko i dobył pierścień, świecący, duży, piękny, ale piaskiem i ziemią oblepioną na nim okryty. Nigdy Gaweł tak wspaniałego klejnotu nie widział i oglądał go z ciekawością wielką. Złoty był, jakby ze sznura grubego upleciony, a w środku jego siedziało oko dziwne, patrzące jak ludzkie i mieniające się coraz inną barwą. Gaweł począł go ocierać, ażeby oczyścić, ale razem i myślał sobie:

— Pierścień jak pierścień, piękna rzecz, ale co mi z tego, kiedy gospody nie ma, ani wieczerzy...

Ledwie że mu to przez głowę przeszło — patrzy, — aż osłupiał... Stoi we drzwiach wspaniałej gospody, pies i kot też byli przy nim; jeden się asi, drugi poszczekuje i prowadzi go przez wspaniałą sień, do ślicznej izby. Żywej duszy w niej nie było, ale stół nakryty bielizną białą, a na nim wieczerza taka, że dwóchby się nią królewiczów najadło, taka dostatnia i smaczna. Misa klusek z serem, aż się kurzy, chleb, masło, kura pieczona, woda we dzbanku, piwo i miód...

Niewiele tedy myśląc, zasiadł uradowany Gaweł sam jeść i dwór swój nakarmić, bo o nim zapomnieć nie mógł; a jadł wygłodzony aż mu za uszami trzeszczało i Panu Bogu dziękował, na pierścień cudowny spoglądając, bo tego się dorozumiewał, że wszystko to jemu jedynie był winien.

Usługi około stołu nie było żadnej, ale taki osobliwy porządek, że miski i talerze, skoro się wypróżniały, znikwały w oczach...

Gdy się Gaweł dobrze najadł i napił, zachciało mu się spać, i byłby się choć na ziemi położył, bo do tego był nawykły, ale w drugiej izbie widać było posłane łóżko, pościel śliczną, białą, a w dodatku i odzież piękną, nową, w którą nazajutrz mógł się ubrać...

Więc Panu Bogu podziękowawszy, szedł do łóżka, i jak legł tak natychmiast zasnął. Kot i pies pokładli się też przy nim.

Jak długo spał, sam nie wiedział, bo sen miał tak mocny, że się nawet na drugi bok nie przewrócił. Otworzywszy oczy, zobaczył już wielki dzień, biały, słońce przyświecające wesoło, kot się umywał a pies siedział z uszami do góry i powitał przebudzenie pana wesołym szczekaniem.

Skoczył Gawetek co żywo umywać się odziewać, a bieliznę i suknię wdziawszy, sam siebie nie mógł poznać. Na ścianie wisiało ogromne zwierciadło, w którym przejrzawszy się, przekonał, że wypiękniał przez tę noc i do królewicza był podobny...

Zaledwie się tak przystroił, trochę mu się ckliwo zaczynało robić bo byłby co przekąsił chętnie, gdy w pierwszej izbie zobaczył stół nakryty, i już go zachodził zapach krupniku, tak pokusliwy, że musiał do misy biedz co rychlej aby nie ostygł.

O kocie i psie nie zapominając, dobrze się posilił Gawel. Cóż tu dalej robić? Siedzieć tak w niemej tej gospodzie samemu jednemu, jeść, pić i spać tylko — nudno. Pomyślał tedy sobie — trzeba w drogę dalej...

To mówiąc potarł swój pierścień i oto w mgnieniu oka, znalazł się znów na drodze, sam jeden ze psem tylko i kotem. Gościniec tylko był inny, nie ten, którym szedł wczoraj. Szeroko wybity, wysadzany wielkimi starymi drzewami, ciągnął się jak okiem zajrzeć krajem wesołym i żyznym, na który miło było popatrzeć.

Ludzi na polach uwijało się około roboty mnóstwo; złociste pojazdy szły drogą; na prawo i na lewo dwory, pałace i wioski widać było wesołe. Szedł więc Gawel dalej, w cieniu drzew powoli, wszystkiemu się przypatrując, a nie spiesząc. Przed nim biegł pies, za nim sunął się kotek...

Ponieważ Gawel w kieszenie nabrał chleba podostatkiem nie potrzebował już we dnie gospody, siadł pod drzewami, sam się najadł i swoich towarzyszków nakarmił. Dopiero pod wieczór trzeba było o noclegu pomyśleć.

Znalazła się też jak raz wieś bardzo wielka i porządna, do miasteczka podobna, bo w środku jej było targowisko dokoła domami obstawione. Właśnie w chwili gdy wchodził tu Gawel, ogromne zbiorowisko ludu napelniało plac, a w środku na koniach stali ludzie i głośno coś z papieru czytali.

Widać było po konnych, iż z urzędu zostali posłani, bo mieli na sobie suknie wyszywane z herbami, i kapelusze z piórami na głowach, a jeden wprzód trąbił nim drugi miał czytać, aby ludzie słuchali...

Cały tłum stojący dokoła zafrasowane bardzo miał twarze; niektórzy ręce łamali i rozpaczać się zdawali. Ten co na koniu siedział, czytał co następuje z papieru:

— Z rozkazu króla jegomości Gwoździka, ogłasza się wszystkim wiernym jego poddanym, że oto wielkie nieszczęście grozi państwu, albowiem potężny ale niegodziwy sąsiad, król Strasznej Góry, Bimbas, z wojskiem nieprzeliczonem ciągnie przeciw Gwoździkowi i chce kraj zniszczyć i zawojować. Ktoby przeciwko niemu wystąpił, a Gwoździka i jego państwo od zagłady uratował, temu król rękę swej córki jedynaczki, najpiękniejszej z królewien Marmuszki, przeznacza i po sobie mu królestwo przekaże!

Słuchał tego czytania Gawel — i natychmiast spytał stojącego przy sobie wieśniaka, którędy droga do zagrożonej stolicy, i gdzie się nieprzyjaciel znajdował?

Na to jeden z heroldów odpowiedział, że Bimbas z wojskiem stał już o pół dnia od miasta, a do niego stąd nie było dalej jak dzień drogi.

Gawel począł zaraz pierścień swój trzeć i żądać, aby mu się wojsko stutysięczne zebrało dla pobicia nieprzyjaciela króla Gwoździka; miał bowiem na myśli ożenić się potem z królowną Marmuszką, — no — i spokojnie sobie panować temu królestwu. Jeszcze pierścień tarł, gdy sam ujrzał się na koniu, a poza wsią zaczęło się ukazywać wojsko wielkie i trzech wojewodów przybiegło do niego po rozkazy.

Gawel wyjechał przez zdumiony lud się przerzynając, wśród okrzyków radosnych do swojego wojska, rozkazując mu biedz przeciwko Bimbasowi na obronę stolicy... Sam też z wojewodami puścił się wcał, zapomniawszy nawet o swoim kocie i psie; ale oni oba tuż za koniem biegli nieodstępni.

Nim rozedniało, wojsko Gawłowe, on i wojewodowie, już byli pod murami stolicy Gwoździka, który się był zamknął w niej, bo ludzi miał mało i już nie wiedział co począć.

Bimbas tymczasem zbliżał się, zapewniony, że nie znajdzie siły, któraby mu się opierać śmiała, gdy Gawel ze trzema wojewodami i wojskiem swem jak piorun spadł na niego.

Co się tam działo, opowiedzieć trudno; dosyć, że jak zajrzeć, pola okryły się trupami, a sam Bimbas za ledwie z życiem uszedł. Gawel zaś po odniesieniu zwycięstwa, pod murami stolicy króla Gwoździka położył się obozem, i trzech swoich wojewodów wysłał w poselstwie z pozdrowieniem, dopominając się królowy Marmuszki w małżeństwo, wedle uroczyscie danego na to słowa.

Król Gwoździk, który z wieży na odniesione zwycięstwo patrzył wraz z królową, natychmiast wyjechał na spotkanie przyszłego zięcia. Król był staruszek zgrzybiały, małeńki, a koronę miał ciężką i wielką na łysej głowie, która mu ciągle aż na nos prawie opadała, tak, że ją podtrzymywać musiał...

Przywitał go Gawel u namiotu swojego, uściskali się, przyczem Gwoździk koronę pod pachę wziął bez ceremonii i poprowadził go na zamek do córki. Tu wystrojona królowa Marmuszka czekała już na narzeczonego w szatach ze złotogłowiu, — piękna tak, że jak od słońca bił blask od niej, ale minkę miała dumną, na wybawcę spoglądała z góry.

Gwoździk, poczciwe człowieczysko, koronę rzuciwszy do kufra i pozbywszy ceremonialnych strojów, w doskonałym humorze siadł za stół. Wesele Gawła z królową Marmuszką odbyło się tegoż dnia, przy wielkie⁶ radości wszystkich mieszkańców stołecznego grodu.

Byli na niem jeszcze trzej wojewodowie Gawła i wojsko jego całe⁷ stało pod murami, ale, że bardzo dużo jadło i piło, król Gwoździk przymówił się wprędce, czyby go nie można rozpuścić.

Gawel zgodził się na to, i poszedłszy w kątek potarł swój pierścień wydając stosowne rozkazy. Nazajutrz i wojewodów i wojska nie stało, a Gawel pozostał sam z żoną.

Wkrótce jakoś potem stary Gwoździk, który pić i jeść, a za stołem długo przesiadywać lubił, zjadłszy na wieczerzę ogromny krąg kielbasy i wypiwszy całą stągiew piwa, w nocy Panu Bogu ducha oddał. Sprawiono mu pogrzeb wspaniały, poczem Gawła ukoronowano razem z jego żoną i poczęło się panowanie.

Kotek i pies przy nowym królu nie odstępnymi byli ciągle.

Jak Gawel królował? domyślić się łatwo, znając dobre jego serce. Począł od tego, że biedny lud od wszelkich podatków i od ciężkich danin uwolnił, dla ubogich pozakładał szpitale i domy przytułku, a po całych dniach z kotem i psem chodząc, szukał żebraków, kalek i sierot, aby im pomagać, ratować, odziewać i karmić.

Królowej się to nie podobało, a jeszcze mniej wszystkim panom przy dworze, którzy na to nosem kręcili, że Gawel ich pochlebstw nie słuchał i nie obdarzał ich, a cały był biednym oddany.

Zaczęli więc panowie owi podrwiwać z króla i nawet ośmielili się przed królową przebąkiwać, że król to był osobliwy jakiś i musiał chyba sam być lichej kondycji, kiedy się tak kochał w pospolitym gminie.

Ubodło to królowę, która, choć męża dosyć kochała, dumną była z tego, iż pochodziła z wielkiego rodu Gwoździków i Cwiczków. Zaczęła więc wypytywać męża o jego ród i genealogię Gawel śmiejąc się, zbywał ni tem ni owem, czem wielką wzbudził w niej ciekawość.

Zaczęła mu się więc bardzo przymilać królowa, udawać dla niego nadzwyczajną miłość i zaręczać mu, że choćby prostym chłopem był, ona równie kochałaby go zawsze i wdzięczną mu była za ocalenie królestwa. Zwolna też coraz natarczywiej dowiadując się i badając go królowa Marmuszka, jednego wieczora, gdy sami byli i siedzieli w ogrodzie słuchając słowików, zaczęła go usilnie prosić i zaklinać, aby jej historję, swoją od dzieciństwa poczynając opowiedział. Gawel dobroduszny, wyznał jej wszystko, a naprzód, że prostym chłopskim synem był, i jakim sposobem do tego cudownego pierścienia doszedł. Nie krył się nawet z tem, gdzie ten swój skarb nosił i jak go było potrzeba używać.

Królowa Marmuszka dowiedziawszy się o tem, że zaślubiła chłopca, nie dała tego znać po sobie, ale niezmiernie się zgryzła, postanawiając zgubić go i od niego się uwolnić.

⁶wielkiej. [przypis redakcyjny]

⁷całe. [przypis redakcyjny]

Jednego tedy razu, gdy Gawel mocno zasnął, wcale się nie obawiając niczego, zakradła się królowa i pierścień mu zręcznie z zanadru dobywszy na swój palec włożyła, żądając od niego, aby Gawel natychmiast przeniesiony został do wielkiej wieży, na pustej wyspie wśród morza, i tam do śmierci pod strażą siedział, więcej ani jej, ani królestwa swojego nie oglądając.

Gdy poczciwy Gawel obudził się, już był wedle rozkazanias żony zamknięty i zobaczywszy, że pierścienia nie miał, domyślił się, że go zdradziła królowa.

Wdrapał się na górne piętro wieży, aby choć zobaczyć gdzie go osadzono, i ujrzał dokoła tylko jedno morze, a jak okiem zajrzeć, małą wyspę skalistą, o którą się bałwany rozbijały, i morskie ptastwo, które żałośnie piszcząc, latało dokoła.

Kogo mu najbardziej żał było, to kota i psa, przyjaciół swych wiernych, których tu z nim nie było. Ale, gdy się to działo, ów pies i kot również po całym zamku swojego pana szukali, biegali, wachali, nie mogąc się domyśleć, co się z nim stało. Piesek dopiero pierścień spostrzegłszy na palcu u królowej, bo ta go nigdy nie zrzuciła, domyślił się, iż zdradą pozbyła się męża. — We dwu z kotem osnuli więc plan, jakimby sposobem mogli dobrego pana pomścić i uwolnić.

Kot począł od tego, że z zajądłością największą rzucił się na myszy zamkowe, aby zmusić je do pomocy, dla odzyskania pierścienia. On i pies który mu we wszystkim dopomagał, tępił je bez miłosierdzia. Wkońcu też do ostateczności doprowadzone myszy, którym na zamku dobrze było i wynosić się z niego nie chciały, zwołały sejm w piwnicy.

Począwszy radzić z wieczora, ponieważ głosy były podzielone, a każda mysz chciała długą mowę powiedzieć i pochwalić się, że umie pięknie mówić — radziły do rana i — nic nie uradziły. Nazajutrz zwoławszy się znowu, o mało się nie pokąsały. Cała gromadka podzieliła się na dwa obozy, a trzeci stanął w pośrodku, aby je zgodził. Ten zagryziono na śmierć. Dziesiątego dnia, gdy kot coraz okrutniej się pastwił nad niemi, postanowiono nareszcie wysłać do niego poselstwo...

Kot przyjął je, ale zapowiedział, że o żadnym *modus vivendi* mowy być nie może, dopóki myszy mu pierścienia od królowej nie dostaną. Wyspiegował on, że w nocy królowa go w ustach trzymała, z obawy, aby się z palca nie zsunął, bo rękę miała małą i paluszki cienkie, a pierścień był duży.

Myszy tedy ratując naród swój od zagłady, musiały wkraść się do sypialni i czatować. A że to są stworzenia bardzo przemyślne i mądre, obmyśliły łaskotać tak śpiącą Marmuszkę, aby śpiąca pierścień z ust wypuściła. Raz i drugi się to nie udało, naostatek, gdy ciągle myszki ogonkami jej około ust poczęły łaskotać, królowa otworzyła je, a pierścień wypadł i zsunął się na podłogę; tu pies i kot czekali już i pies chwyciwszy pierścień, natychmiast skrobać począł do drzwi, skomlić, aż służąca wstawszy wypuścić go musiała.

Pies i kot razem tejże nocy wykradli się precz z zamku i z miasta w pole, a że wiedzieli już instynktem, że Gawel na wyspie pustej wśród morza się znajdował, wprost do morza dążyli... Szli i szli, bo bardzo daleko było od brzegu, aż nareszcie dostali się do niego. Ale jak tu się przez wodę przeprawić?

Kot nie umiał pływać, a nie chciał się zostać, bo utrzymywał, że bez niego się tam nie obejdzie. Ułożyli się więc, ażeby pies wziął go na grzbiet, a kot miał w pysku pierścioneć nieść, i tak do wyspy płynąć mieli.

Wszystko z początku szło pomyślnie, byli już na pół drogi od wyspy, którą zdala widzieli, gdy pies zapytał kota.

— Masz pierścień? — A mam! — odparł kot — ale gdy to mówił, otworzył gębę i — pierścień wypadł z niej i w głębi morza utonął. Nie śmiał się już do tego przyznać ze strachu, aż stanęli na wyspie. Tu się pies pytał.

— A gdzie pierścień?

— Trzymałem go wiernie, — rzekł kot z boleścią, — ale gdyś mnie zapytał niepotrzebnie, otworzyłem pyszczek aby odpowiedzieć i... pierścień poszedł na dno morza.

Pies wpadł w ogromną wściekłość.

— Kocie! zdrójco jakiś — zakrzyczał — rób co chcesz! ratuj się jak możesz, ale ci to przysięgam na Cerbera, że jeśli mi pierścienia jakimkolwiek sposobem nie odzyskasz, zgrzyzę cię na śmierć... a sam też potem głodem się zamorzę.

Kot nie miał innego sposobu, bo prostaczek był i wymyślić nic nowego nie umiał, tylko tak samo sobie postąpić z rybami, jak na zamku z myszami. Stanął więc, by czatować na ryby i dusić je bez miłosierdzia.

Tysiącami trupów leżało na brzegu; morderstwo było okrutne, ryby się przestraszyły. Zwołały więc i one sejm wielki, ale daleko inny niż u myszy. Zasiadły ogromne jesiotry, łososie, szczupaki i różne ich matadory, w jednej chwili uradziwszy poselstwo do kota. Drobne rybki musiały słuchać, i ani myślały się przeciwzić, boć im nawet głosu nie dano.

Kot już czekał na brzegu. Jesiotr stary począł do niego mówę, ale tej on ani chciał słuchać.

— Śmierć wam wszystkim — zamiauczał — jeśli mi pierścienia nie dostaniecie. Róbcie co chcecie, inaczej pokoju nie będzie! Natychmiast ryby wielkie, którym się nie chciało samym w błocie i szlamie brukać na dnie wykomenderowały dziesięć tysięcy małych, aby pierścienia szukały i tegoż dnia uboga płotka go przyniosła... Stary jesiotr go jej odebrał i popłynął do kota.

Radość była wielka, ale na tem nie koniec. Pierścień wprawdzie mieli, a dostać się z nim do środka wieży nie było sposobu. Nie było do niej żadnego wnijścia, żadnej dziury, żadnego okna i tylko wierzch miała otwarty, którędy powietrze wchodziło. Kot więc ofiarował się drapać na mur do pana... Pies został pod wieżą, siadł na skale i pilnował.

Lezie tedy kot, lezie, trzyma się pazurami kamieni, dobrał się do połowy wieży, a tu go siły opuściły... i... buch... na ziemię. Ale że kot zawsze na nogi pada, więc mało co się utrzęsł. — Pies zawarczał:

— Musisz się dostać na górę, a nie to cię zagryzę, próbuj drugi raz.

Ledwie wytchnąwszy, kot po raz wtóry począł wędrówkę po murze i spadł znowu, a pies go za kark pochwycił i o mało nie zdusił.

— Poleżę raz jeszcze, jęknął kot, tylko daj mi odetchnąć.

Za trzecim razem kot już tak pazurami się chwycił i wybierał dobrze kamienie, że się do wierzchołka dostał.

Gaweł właśnie siedział tam na ławce kamiennej i tęsknie na morze patrzył, gdy swojego poczciwego kota zobaczył, który bezsilnie padł u nóg jego, a razem i złoty pierścień się potoczył...

Pochwycił go Gaweł uradowany, biedne stworzenie razem na ręce biorąc, bo kot już ledwie dyszał...

Ponieważ go tam na wieży o suchym chlebie i wodzie trzymano, król Gaweł głodny był i zmizerowany, więc potarł pierścień, żądając gospody, dla siebie, psa i kota...

I w teje chwili znaleźli się wszyscy za stołem w tej samej izbie, w której Gaweł już raz bywał, gdy od rodziców wyszedł... Nie tylko odpocząć, zjeść i napić się potrzebował, a towarzyszków nakarmić, ale i o tem pomyśleć co dalej robić. Do królowej, która go tak niegodziwie zdradziła powracać nie bardzo chciał, chociaż ją kochał. — Wszelako pięknego królestwa żał mu było, a nadewszystko ubogich, żebraków, kalek i wszystkich biedaków, którym mógł być pomocą i opieką.

Wyspawszy się i najadłszy, nimby coś postanowił Gaweł, zażądał on sobie przejść się trochę, między zielonością i drzewami, których nie widział dawno, — znów więc na tę samą wybrał się drogę co w pierwszej podróży i trafił do tej samej wioski.

Dziwna rzecz, tak jak pierwszym razem, znalazł się tłum ogromny w rynku, przestraszony i lamentujący.

— Poczciwi ludzie, co się tu u was znowu dzieje — zapytał — biedę jakąś widzę macie?

— Och! bieda, bieda! — odpowiedział mu wójt, — a już nas teraz nikt ratować z niej nie przyjdzie. Królowa i królestwo padnie ofiarą. Niewiadomo co się z królem Gawełem stało, który panem był rozumnym i silnym. Teraz, gdy go niema, niepoczciwy Bimbas dowiedział się o tem, ciągnie na stolicę i zawojuje nas, a zawojawszy każe swoim językiem gadać, do swoich modlić się bogów i zażąda, abyśmy wszyscy skórę z siebie pozdzierali a powkładali tę, którą on nam narzuci. A to jest najstraszniejsza rzecz, jaka naród biedny spotkać może.

Gaweł słuchał i dumiał. Do królowej żał miał wielki, to prawda, ale czyż za to królestwo jego pokutować miało?...

Potań więc pierścien, żądając sto tysięcy wojska i trzech wojewodów. W mgnieniu oka wojewodowie nadbiegli, wojsko stanęło, Gawęł na koniu siedział i ciągnął pod stolicę na odsiecz!...

Gdy się tu wojsko jego pokazało, a Bimbasa je zobaczył, nie czekając bitwy, począł uciekać... Bito więc ich w pogoni na kapustę siekąc, a i sam niepocziwy Bimbasa padł na placu.

Królowa z zamku patrzyła i mdlała ze strachu. Wprawdzie nieprzyjaciel został odparty, ale Gawęł, mąż jej będzie chciał się na niej pomścić za zdradę... Przebłagać go, nie widziała sposobu... Zwycięzki pan wchodził już do swej stolicy...

Marmuszka zamknęła się w izbie, i padłszy na ziemię, losu straszniejszego jakiego ją spotkać musiała czekała, będąc pewna, że król ją teraz na tę samą pustą wyspę zesłał, aby tam w wieży siedziała. — Ale Gawęł nadto pocziwy i dobry był, ażeby się miał mścić srogo... Otworzono wrota, panowie i starszyzna plackiem padła pod nogi panu, udając niezmierną radość z jego powrotu...

Gawęł nic nie mówiąc, wprost do żony prowadzić się kazał. Stał we drzwiach.

— A co? królowo Marmuszko, — rzekł, a tom ja znów zjawił się w porę. Nieprawdaż? Na wieży mi się strasznie nudziło, Pan Bóg pomógł, przyjaciele poratowali... Musimy tedy znowu żyć razem, bo co się sobie raz ślubowało, to się rozerwać nie może...

Mógłbym się ja mścić, ale nie chcę. Podła to rzecz...

Bez kary jednak słusznej nie ujdiesz, królowo moja.

Tu Marmuszka głowę podniosła słuchając.

— Jestem sobie prosty chłop... Gawęł... z chłopów królem zostałem i z tem się nie taję. Posłaś za mnie Marmuszko, jesteś żoną moją, więc wraz ze mną musisz za karę iść i rodzicom moim w chacie ubogiej, do stóp się pokłonić... Naówczas wszystko ci przebaczę i zapomnę.

Królowa Marmuszka uściskała nogi jego i na wszystko się zgodziła.

Nazajutrz jak dzień, potarł król pierścien, żądając być na drodze do chaty rodziców... I on i Marmuszka, oboje w koronach złotych w płaszczach z gronostajami, za niemi dwór, wozy, konie, skarby, aż strach. Idą, idą, aż jeden z braci Gawłowych pędzi woły z paszy, i zobaczywszy króla, padł na ziemię przestraszony, bijąc czołem. A był w prostej sukmanie, odarty i brudny. Stał król śmiejąc się.

— A coś to ty mnie nie poznał?... Tociem Gawęł, rodzony twój brat tyłkom się przez moją głupotę korony dorobił, gdy ty z swoją mądrością woły pasiesz. Wstawaj i chodź z nami.

Musiła tedy królowa Marmuszka ścierpieć, że chłop jeden już przy niej szedł.

Trochę dalej, patrzą, idzie brat drugi, chude konie popędzając. Zobaczywszy orszak królewski, co prędzej na bok odegnał szkapy i nie śmiejąc nawet spojrzeć na Gawęła, padł pozdrawiając go. A ten woła:

— Wstawaj! nie poznałeś mnie, brat twój jestem, chodź z nami.

Pod samą chatą nastraszył się ich tak samo brat trzeci — i zbliżyli się nareszcie do wrót.

Ojciec i matka wybiegli się przypatrywać orszakowi, który się zatrzymał. Rodzice oboje nie poznali Gawęła, aż po głosie, gdy się odezwał do nich i pokłonił obojgu...

— Bóg wam zapłać, kochani moi, żeście mnie precz z chaty wygnali, bo gdyby nie to, nie doszedłbym do królestwa i nie mógłbym wam na starość być pomocą. Więc, dziękuję wam z duszy, a gdy mnie Bóg na tronie posadził, abym nie zapomniał nigdy żem taki człek jako i inni ludzie, chodźcie wy ze mną i zasiądźcie przy mnie w chłopskich sukmanach, abym się pokory uczył i w dumę nie wzbijał.

To rzekłszy, Gawęł rodziców swych poszanowawszy, zabrał ich z sobą do stolicy, w której gody nowe sprawiwszy, sto lat szczęśliwie królował z królową Marmuszką, a synowie jego po dziś dzień w tem państwie panują.

Kwiat paproci

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tem szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drebka jasno pała i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia aby na nią trafić.

Ci co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, niedopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznąć trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka, i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewna, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet.

Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać i to rękami czystymi.

Stary człowiek choćby nań trafił, to mu się w palcach w pruchno rozsypie.

Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzie w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzeć trudno, ale taki ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą św. Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnął... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, za ba-i — bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić, — stara niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasluchał, że mu aż kij z rąk wypadł a kozikiem sobie omal palców nie pozarzywał.

Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, — choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie: — niech się dzieje co chce a ja kwiatu tego muszę dostać.

Dostanę go, bo człowiek kiedy chce mocno, a powie sobie że musi to być, zawsze w końcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ognie palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacuś: — gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził póty, aż go wyszukam, i zdobędę.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała, ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy łapcie lipowe nieszone, czapkę z pawiem piórkiem, i jak tylko pora nadeszła a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna, z mrugającymi gwiazdkami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było pożytku.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu, i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb, — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie grube, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie było; pokrzywy piekły, osty kęsały. Ciemno, choć oczy wykół, a wśród tych mroków gęstych, coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakby go zjeść chciały, a mienia się żółto, zielono, czerwono, białe, i — nagle migną i gasną. Oczu tych na prawo, na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały i pomrukiwał że to strachy na lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie się, drapie, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca niema, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można...

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gęszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, zamachnął: zdusił je, zmiotł, połamał i przedarł się szczęśliwie...

Idzie, aż moczar i błoto. Obejść ani sposób; spróbował nogą, grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniedzie kępiny wystają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona z pod stóp wysuwa, ale jak począł biedz, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak obłąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć którędy nazad do wsi, jużby nie umiał rozpoznać w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego u spodu, świeci się gdyby brylant kwiatusek jak przylepiony... Pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął, i już miał pochwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... kogut zapiał: kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął niemi — zgasnął. Śmiechy tylko dały się słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Potem już nie wiedział co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem pół żywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tem nie koniec, przyjdzie drugi św. Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tem dumał, ale żeby się z niego ludzie nie naśmiewali, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nienoszone, — i gdy drudzy do ogniw szli, on w las.

Myślał że znowu mu przyjdzie się przedzierać jak pierwszym razem, aż ten sam las i taż sama droga zrobiła się zupełnie inną. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko, na gołym polu kamieniami posianem... Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekał od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośłe, ślizkie, choć leżały nieruchome, jakby z ziemi wyrastały. Pomiedzy nimi paproci stało różnej, malej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem do kolan, aż w pas, dalej po szyję i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słycać było, niby jęk i płacze. Na którą nogą stąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca a szedł dalej.

Naostatek... patrzy, świeci zdala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w środku oko obraca się jak młyn...

Jacusz podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł, ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na lzy mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i zburzyło się w nim wszystko.

— Do trzech razy sztuka! — zawołał z gniewem... A że zmęczonym się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć poczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

— A co? masz już dosyć, mówi do niego, będziesz ty mnie prześladował?

— Com raz powiedział, to się musi stać, mruknął Jacusz, — na tem nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak jęczyzek, i Jacusowi się wydało jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski i sam nie wiedział już czy to co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty, zmęczonym się tylko czuł tak, że położyć się musiał i matuś mówiła mu, że wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle jakby tego dokazać, żeby kwiatu dostać? — Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dołę, lub niedołę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nienoszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko zciemniało, pobiegł do lasu.

Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie mieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomemi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszcze, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... Znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednych lażyły robaki, na drugich spały gąsienice, innych liście były poschłe. Już miał Jacusz z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynał, a taką jasność miał, że Jacusz musiał powieki przymknąć, bo go oślepiła. Wcisnął go zaraz za pazuchę, pod lewą ręką na serce... wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — szczęście to twoje, ale pamiętaj o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał. — A! co mi tam! rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo mu go odebrano.

Z czapczką na bakier, podśpiewując, powracał nazad. — Droga przed nim świeciła jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchyłały, kwiaty które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznaney...

Spojrząwszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacusz nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała...

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznanne, osobliwe, jakby poprzeszraszone i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakło.

— No! będę teraz używał! — mówił Jacuś i opatrzywszy kąty wszystkie, naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał, po tej nocy pracowite. W puchu jak legł na białej cieniutkiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął — sam nie wiedział ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacuś pomyślał to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijać, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyśleć i smak stracił do jadła.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był zasadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacuś chodził, usta otwierał dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałem, że nigdzie swojej znajomej okolicy, ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzeć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale — ot tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli, a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodcze, że po nich tylko się było obliżywać — Jacuś o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, djamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapagnęła, choć były zrobione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacuś: — miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą posłać ojcu i matysi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili, albo chudoby, — ale wiedział o tem, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić niem nie godziło, bo zarazby wszystko przepadło.

— Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu, — co ja mam się o kogo troszczyć, albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było.

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę.

Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepe, a po jarząbkach, schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tem było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadło ani siekiery, wziąć, ani grabi i rydła. Nudzić się zaczynał wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok i drugi, — wszystko miał czego dusza zapagnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak głupie, że mu życie brzydło.

Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a jak ją wspominał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką — i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr i nie patrząc się, gdy zatrzymały się przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi lzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędźniejszym wydawało.

Żłób stary przy studni, pieńek na którym drewno rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara przygarbiona niewiasta, w zasmolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał.

Jacuś wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle, przysiadając na tyle i ani myślał poznać.

Jacús postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi, stała matka, wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkiem.

— Matuś, — zawołał — ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

— Jacuś! wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie niema. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

— Gdzietam! gdzietam! — rzekła. — Jacuś mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, z którymby się nie mógł podzielić ze swoimi. Zasromał się mocno Jacuś, oczy spuścił... Kieszenie miał pełniuteńkie złota — ale co ręką sięgnął, ażeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała..

Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce międko, ale jak spojrzął na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało i czuł, że kwiat paproci leżał na niem, jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa; nie patrząc i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać napowrót do raję.

Ale co się w nim i z nim działo, tego żaden język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że niema szczęścia dla człowieka jeżeli się niem dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu, kazał kapeli grać, panom swoim tańcować zastawić stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotnym...

Przez cały rok, choć, jak zwykle we wszystko opływał, w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty...

Spojrzął, wszystko jak było, żłób, pieniek, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najężoną — ale stara matka nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego Maciek...

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — rzekł malec wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając, leżała w kątku na łóżeczku. Podszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci.

Niegodziwy Jacuś począł mędrkować.

— Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przedemną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancierzem na piersiach, który włożył na nie kwiat paproci, związane i skrzepowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dworni skakać i pić zaczął, aby je zagłuszyć.

Chwilami zdawało się, że go już nie słyhać, a potem — jak wrzasło, Jacuś o mało nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając, durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało:

„Niema szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugimi podzielić nie może”!

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczypa, wyżółkł, jak wosk — i w tem swoim dostatku i szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje co chce! — mówił — niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem; żłób stary u studni, pieńki, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi — stoły kołkiem podparte; — zajrzał przez okno, chata była pusta...

Wtem żebrak, stojący u płotu, wołać nań zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie... Chata, wszystko pomarło z biedy, z głodu i choroby...

Jakby skamieniały, stał ów szczęśliwiec u progu — stał, stał...

— Z mojej winy zginęli oni, — rzekł w duchu, — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął, — a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać po świecie.

STANISŁAW JACHOWICZ

Pszczółka (Jednego razu pszczółka na kwiatku siedziała...)

Jednego razu pszczółka na kwiatku siedziała,

Hej! wiecie, rzekła: chociażem tak mała,

Ja się do szczęścia ubogich przyczynię;

Dotąd dla siebie zbierałam jedynie,

Na przyszłość codziennie potrochu odłożę;

A dobrym chęciom Pan Bóg dopomoże.

I tak się stało:

Miodku się dużo dla biednych zebrało;

A pszczółeczka luba, miła,

Tej nas prawdy nauczyla.

Że przy pięknych uczuciach dość na silnej woli,

Aby nieść pomoc bliźniemu w niedoli.

Stróż domowy

Idziemy na przechadzkę, hej piesku, chodź z nami!

„Chętniebym poszedł z panami;

Ale nie mogę.”

My nie w daleką idziemy drogę.

„Nie, nie, paniczu, nie mogę.

„Dom sam zostawić byłoby nieładnie,

A nuż go złodziej napadnie?”

— I poszli. Pies zazdrośnie spoglądał za nimi.

I długo, długo leżał przed drzwiami na ziemi.

Potem powstał i obiegł dziedziniec wokół,

Już wrócili panicze, witał ich wesoło:

Szczęśliwy! że dopełnił święcie powinności.
Kto o niej zapomina niechaj mu zazdrości.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bajki-i-powiatki>

Tekst opracowany na podstawie: Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza i Ignacego Kraszewskiego z 10-ma rycinami, nakł. Księgarni Dra Maksymiljana Bodeka, Lwów 1924.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Dennis Jarvis@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0316-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.